TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok V. Nr 25 (225)
Łódź, 24. VI. 62r.
Cena 1 zł

# odgłosy

NOWY KABARET?

czytaj na str. 4

W najbliższych numerach
dyskusja
Łódź turystyczna — Polska B

WOJCIECH WIERZEWSKI

## LIST z KRAKOWA

## POWRÓT KSIĘDZA PIROŻYŃSKIEGO

Kraków żyje od jakiegoś czasu wielką aferą kulturalną, jaką stała się historia okastrowania głośnego filmu de Siki „Matka i córka" („La ciociara") na wniosek oraz pismo protestacyjne członka Krakowskiego Koła Seksuologów i prezesa Towarzystwa antyalkoholicznego „Błękitny Krzyż" — dr W. Marcinkowskiego.

Zaczęło się to wszystko zgoła niewinnie. W ramach „awansu kulturalnego" odbył się w tym roku również i w Krakowie Festiwal Festiwali Filmowych, gdzie zaprezentowano m. in. wspomniany wyżej film de Siki. W kilka tygodni później na łamach tygodnika ZSL „Wieści" (Nr 12 z 25.III. br) pojawił się artykuł dr Marcinkowskiego pt. „Uwaga, zły film!". Powołując się na swój autorytet lekarza — społecznika autor stwierdza tam m. in.

*„Uważam, że ten film jest niebezpieczny dla zdrowia psychicznego, zwłaszcza młodzieży nieraz nieletniej... posiadam pewne informacje o obecności na tym filmie wielu licealistów. Młodzież ta musi być w miejscu publicznym świadkiem masowego gwałtu, przedstawionego specjalnie ohydnie od pierwszych scen skradania się i zwierzęcego rzucania się na bezbronne ofiary. Zgodnie z prawami psychologii i fizjologii płci i centralnego systemu nerwowego obrazy wizualne utrwalone i przeżywane jak rzeczywistość (także dźwiękowe) mogą i muszą u wielu młodych widzów wywołać kompleksy i nerwice seksualne. Film ponadto: „brutalnie atakuje zdrową wstydliwość i poczucie kultury..." Jest też: „obelga wobec rasy czarnej, a wyświetlany w Ameryce Północnej mógłby spowodować masowe lincze." „Nie do pomyślenia byłby natomiast pokaz tego filmu w Związku Radzieckim, gdzie wymogi humanizmu i interesu społecznego obowiązują także sztukę, zwłaszcza filmową"... „Dla przyjaciela, starego żołnierza i partyzanta, wielokrotnie rannego na froncie, sceny te były podwójnym urazem" — gdyż — jak miał rzec: „przypomniały mi żywe obrazy, których byłem świadkiem na froncie, gdzie w obronie ko-*

Dalszy ciąg na str. 3

# POLSKI

## kompleksowe obiekty p

wyposażenie lów przem ch

Fot.: A. KONDRATIUK

KRZYSZTOF POGORZELEC

# TO SĄ TARGI

## METRYKA

urodziny miały miejsce w roku... 1230. Już wtedy odbywały się w Poznaniu międzynarodowe jarmarki, a ich przedmiotem były skóry, miód, bydło, bursztyn. Nowożytne „urodziny" nastąpiły jednak dopiero w 695 lat później — w roku 1925, kiedy po raz pierwszy otworzyły swoje bramy I Międzynarodowe Targi Poznańskie. Przyjechało... kilku gości zagranicznych. Rok 1961: do Poznania przyjechali wystawcy z 55 państw. Rok 1962: na masztach przed pawilonami wystawowymi powiewa 58 flag — tyle „nacji", nie licząc Polski, chce sprzedawać i kupować w Poznaniu.

## „TO JEST INTERES"

właśnie — Amerykanie tak mówią: „business is business". Tak — to jest dobry interes! Warto przypomnieć, że na Targach obroty handlowe sięgają setek milionów rubli i dolarów. Na przykład na XXVIII MTP podpisano łącznie umów eksportowych za sumę 449 milionów złotych dewizowych czyli „okrągło" licząc — 110 milionów dolarów.

To jest świetny interes jeszcze z innego powodu. Wprawdzie na urządzenie terenów wystawowych wydano w roku 1955 ponad 65 milionów złotych, ale w rok później MTP „zarobiły" już 3.454 tys. złotych czystego dochodu, w dwa lata później — 10 milionów, i — niebagatelną kwotę — 1.607 tysięcy DOLARÓW.

To jest interes przez duże „I"!

Dalszy ciąg na str. 5

# ROZMOWA ODGŁOSÓW Z:

## Prof. mgr inż. JANEM WERNEREM

**KIEROWNIKIEM KATEDRY MASZYN TŁOKOWYCH CIEPLNYCH I ZAKŁADU SILNIKÓW SPALINOWYCH POLITECHNIKI ŁÓDZKIEJ**

**O:**

- **ROZWOJU TECHNIKI SILNIKOWEJ**
- **MODZIE SAMOCHODOWEJ**
- **PRZEKLEŃSTWIE MOTORYZACJI**
- **ZACHODNIM MODELU ŻYCIA**

— Jakimi silnikami zajmuje się Katedra?

**— W zasadzie silnikami wszelkich typów i zastosowań, od najmniejszych do największych. Mogą to więc być małe silniki trakcyjne, stałe silniki średniej mocy, wreszcie największe typy okrętowe. W pierwszym jednak rzędzie interesują nas silniki z zapłonem samoczynnym małej i średniej mocy.**

— Co się zmieniło w technice silnikowej w ostatnich pięćdziesięciu latach?

**— Niewątpliwie sama konstrukcja, a więc logiczne rozwiązanie kształtów i poszczególnych elementów, sposoby właściwego liczenia, racjonalne powiązania zespołów zmieniły dość poważnie wygląd i walory silnika. Postęp jednak zaznaczył się przede wszystkim w technice wykonania.**

— Czyli, że zmiany wynikają raczej z technologii niż z mechaniki?

**— Można byłoby to i tak określić. Ale z drugiej strony konstrukcja i technologia są nierozdzielnie ze sobą związane. Konstruktor musi być dobrym technologiem, tylko wtedy może projektując wyzyskać wszystkie możliwości technologiczne.**

— Czy w ramach zajęć Katedry powstały jakieś udoskonalenia?

**— No, chyba tak. Powstało szereg konstrukcji wprowadzonych do przemysłu, konstrukcji całych silników, ich fragmentów, adaptacji, wreszcie konstrukcji związanych z silnikami względnie z przemysłem silnikowym. Poza tym dużą pozycją naszych prac jest badanie silników nie przez nas wykonanych, badanie mające na celu poprawienie wyników, potanienie, zmniejszenie ciężaru itp.**

— A prace studentów?

**— Do zajęć i badań wymienionych wyżej wciągamy studentów zupełnie wyjątkowo. Studenci projektując muszą przede wszystkim przemyśleć samodzielnie całe rozwiązanie silnika podanego w temacie, przemyśleć logicznie i celowo. Muszą sobie zdawać sprawę do czego dany silnik będzie służył, że będą korzystać z niego ludzie — i to jest pole ich inwencji twórczej. Rozwiązywanie trudnych i pracochłonnych problemów nie mieści się w pracach dydaktycznych.**

— Słyszałam, że poza wykształceniem wielu inżynierów dla przemysłu, Katedra dochowała się również i pracowników naukowych?

**— Katedra powstała w 1945 roku, byłoby więc źle, gdyby tak nie było. Dotychczas mamy przeprowadzone cztery doktoraty i jedną habilitację, w toku są dwa dalsze doktoraty i dwie habilitacje. Przyjemnie mi podkreślić, że dwóch „naszych" doktorów zostało samodzielnymi pracownikami naukowymi Politechniki Poznańskiej.**

— Czy w budowie silników można mówić o modzie, podobnie jak np. w

garderobie damskiej? Tyle się o tym słyszy jeśli idzie o samochody... Wydaje się więc, że owa „moda" nie dotyczy tylko karoserii?

**— Można mówić o modzie, choć moda taka jest mniej kapryśna niż moda kobieca, no i zawsze oparta na przesłankach ekonomicznych. Były mody na lekkość, taniość, minimalne zużycie paliwa, łatwość obsługi. Dziś, mimo że tamte „mody" nie straciły na aktualności, na czoło wybija się trwałość silnika i niezawodność jego działania i to tak dalece, że gotowi jesteśmy darować coś niecoś z lekkości czy taniości. Że prace nad zwiększeniem trwałości nie były daremne świadczy fakt, iż dzisiejsze silniki są przeciętnie trzykrotnie trwalsze od tych sprzed 50 lat.**

— Jaka jest przyszłość przemysłu silnikowego czy może raczej samochodowego?

**— Będziemy nadal zwiększać trwałość, niezawodność, lekkość i taniość samochodów, będziemy je coraz bardziej dostosowywać do potrzeb, by mogły być dostępne dla coraz większego kręgu ludzi.**

— Czy nie sądzi Pan Profesor, że to umasowienie może stać się kiedyś przekleństwem? Już dziś w niektórych krajach o silnie rozwiniętym przemyśle motoryzacyjnym życie staje się nie do zniesienia z powodu hałasu, ciasnoty na drogach itp.?

**— Jakie więc Pani proponuje wyjście?**

— Nie wiem.

**— Ja też nie dam Pani odpowiedzi, bo to jest problem, którego nawet długo rozmawiając nie rozwiążemy. Wiem za to na pewno, że jeśli ustaniemy w wysiłkach, zostaniemy zdystansowani technicznie i gospodarczo. A do tego nie możemy i nie chcemy dopuścić.**

— I jeszcze jedno pytanie. Co Pan sądzi o tzw. zachodnim stylu życia? Mam na myśli pęd do własnego samochodu, domu, wygód kosztem zdrowia i osobistych wyrzeczeń. Czy to i nas czeka?

**— To zależy tylko od nas. To co Pani nazwała zachodnim stylem życia powstało wskutek braku równowagi między pielęgnowaniem wartości duchowych i kulturalnych a oszołamiającym rozwojem techniki. Wstrzymać tego procesu od strony techniki oczywiście nie można. Można natomiast przyspieszyć rozwój nauk nietechnicznych, odrobić opóźnienia, dążyć do równowagi.**

**Wówczas bez obawy będziemy mogli korzystać z dobrodziejstw, które nam niesie postęp techniczny.**

Rozm. K. WYRZYKOWSKA

# Z notatnika prokuratora

Andrzej Ostoja

## Potwór

Wybiegł na szosę i machał gwałtownie rękoma. Był blady. Drżał. Niebieska „Warszawa" zahamowała gwałtownie.

— Co się stało? — zapytał mężczyzna siedzący obok kierownicy. — Pomóc panu?

— Nie, nie. Tam! — wskazał ręką w stronę lasu — dziecko... umiera... — z trudem wyrzucał z siebie pojedyncze wyrazy.

Bez słowa wysiedli z auta. Na skraju lasu stał samochód ciężarowy. „To pewnie on sam spowodował wypadek" — pomyślał jeden z nich. Ruszyli za nim w głąb lasu. Biegiem. Przedzierali się przez coraz gęstsze zarośla. Nic nie rozumieli. „Jeżeli był wypadek samochodowy, to dlaczego dziecko zawlókł tak daleko od szosy?" — myśleli. Grunt stawał się podmokły. Woda chlupotała pod nogami. Biegnący przed nim i człowiek zatrzymał się. Wtedy i oni zobaczyli. Dziecko leżało pod drzewem. Sukienka zarzucona na głowę. Cała w plamach zakrzepłej krwi. Stanisław Grębowicz nachylił się nad ciałem. „To jest chyba chłopczyk" — powiedział cicho. Zobaczyli, że ma rozbitą głowę, ogromną ranę boku. Leżał piersiami do ziemi, twarz wykręcona w bok. „Pewnie już nie żyje" — szepnął Popiński. Wtedy Grębowicz uniósł zakrwawioną głowę. Rozległ się jęk. „On żyje, żyje! — zawołał — „Synuś, co ci jest? Co ci jest?" — mówił gorączkowo. — „Szybko, szybko, do samochodu, pomóżcie mi!". Podnieśli dziecko. Zorientowali się, że jest to dziewczynka. Już na szosie Grębowicz zatrzymał się raptem jak wryty i spojrzał ze zgrozą na szyję dziewczynki. „O Boże, co to!?" — wyrwało się jednemu z nich.

Na delikatnej, splamionej krwią szyi, pod rozchyloną bluzeczką widniała wyraźnie pętla sznura.

Niebieska „Warszawa" pędziła na największej szybkości. Jęk klaksonu wwiercał się w mózg. Milczeli. Byli zbyt wstrząśnięci, żeby dzielić się spostrzeżeniami.

* * *

Ośmioletnia Danusia S. bawiła się na podwórku z dziećmi sąsiadów. Rodzice wyszli z domu. Danusia, jak zwykle, była wesoła. Jej srebrzysty śmiech słychać było daleko. Była też szybka i zwinna. Była ulubienicą całego domu. Mirosława Frątczak z przyjemnością patrzała na zabawę dzieci. Nie zauważyła nawet jak na podwórze wszedł znajomy małżeństwa S. — Jan Federowicz. Mężczyzna stanął obok niej i również jakiś czas przyglądał się zabawie dzieci.

— Czy Tadeusz S. jest w domu? — zapytał.

— Nie ma u nich nikogo — odpowiedziała — wyszli do znajomych.

— A gdzie to jest?

— Tuż obok, kilka domów dalej — wyjaśniła.

W tym czasie do rozmawiających zbliżyły się dzieci, a między nimi także Danusia. Wytłumaczono Federowiczowi, gdzie można szukać Tadeusza S. „Po tym objaśnieniu można tam było trafić z zamkniętymi oczami" — zeznała potem Frątczakowa. Mimo to Federowicz domagał się, aby Danusia wskazała mu drogę.

— Po co pokazywać, sam pan nie trafi? — spytała Frątczakowa.

— Danusia mnie zaprowadzi — oświadczył Federowicz.

— Dlaczego Danusia? Ona jest mała. To już niech z panem pójdzie Andrzej. On ma 12 lat.

— Nie. Danusia mnie zaprowadzi. Ona jest mądra dziewczynka. Zresztą kupię jej czekoladkę — upierał się Federowicz.

Frątczakowa wzruszyła ramionami. To już zresztą niech tam idzie z Danusią. Widziała, że dziecko ma chęć na obiecaną czekoladkę.

Danusia ufnie włożyła swoją małą rączkę w wielką dłoń Federowicza. Wyszli za bramę...

Po 15 minutach Frątczakowa ze zdziwieniem zobaczyła wchodzącego na podwórko Federowicza. Był sam. Natychmiast podszedł do Frątczakowej.

— Gdzie jest Danusia? — zapytał.

— Jak to gdzie? Wziął pan dziecko, a teraz się pan jeszcze pyta gdzie ono jest?

— Dałem jej na cukierki i nie wiem gdzie poszła — wyjaśnił.

— Nie szkodzi. Znajdzie się. Nie pierwszy raz sama wychodzi na ulicę.

— No, ja tylko tak mówię — odparł — bo jakby zginęła, to żeby mnie nie szarpali.

— Nie zginie, nie zginie, może być pan spokojny — powiedziała Frątczakowa.

— Ale ja tak na wszelki wypadek, żeby mnie nie ciągali, ja chcę być w porządku w stosunku do rodziców — upierał się Federowicz. — A oprócz tego, to ja panią bardzo przepraszam, ja panią naprawdę bardzo, ale to bardzo przepraszam.

Odszedł powoli.

Właściwie za co on mnie tak przepraszał? — pomyślała Frątczakowa.

Kiedy Danusia nie wróciła na noc i zrozpaczeni rodzice rozpoczęli poszukiwania, nie powiązano zrazu faktu zaginięcia dziewczynki z osobą Federowicza i milicja nic o tym incydencie nie wiedziała.

* * *

Przesłuchujący porucznik badawczo patrzał na Edwarda Markusa.

Historia jego zeznania była prosta: jest kierowcą, zepsuła mu się przyczepa. Zatrzymał się przy Strykowskiej. Poszedł na chwilę do lasu. Zobaczył leżące pod drzewem dziecko. Wziął je za rączkę i wtedy dopiero spostrzegł, że jest poranione, twarz ma zmasakrowaną. Wybiegł na szosę. Zatrzymał pierwszy przejeżdżający samochód...

Tak. Historia prosta, oczywista i zrozumiała. Jeżeli... jeżeli tylko prawdziwa. A porucznik wiedział doskonale, że w jego pracy nie można przeoczyć żadnego szczegółu, popełnić żadnego błędu. Dziewczynka do tej chwili nie była zidentyfikowana. Organa ścigania nie miały jeszcze w swym ręku żadnej nici. Nie można było w tym stanie rzeczy wykluczyć udziału Markusa w przestępstwie. Sam fakt zameldowania automatycznie nie zwalniał od podejrzeń.

Zadzwonił telefon.

Porucznik podniósł słuchawkę. Dowiedział się, że szczegółowe badania samochodu Markusa oraz szoferki wozu dały wynik negatywny. Nie stwierdzono żadnych śladów mogących wskazywać na to, że dziecko było przewożone tym samochodem lub że zostało przez wóz potrącone.

Była noc. Patrole przetrząsały las. Oficerowie przesłuchiwali świadków. Nadano komunikaty donoszące o znalezieniu dziecka. Wykonywano szkice i zdjęcia, sporządzano protokoły oględzin, w szpitalu przy dziewczynce czuwali funkcjonariusze MO z magnetofonem. Tryby maszyny ścigania zostały wprawione w ruch i poruszały się szybko i sprawnie. Toczyła się walka o ujęcie sprawcy.

W tym samym czasie lekarze toczyli inną walkę — walkę o utrzymanie dziecka przy życiu. Dramatyczne to były zmagania. Zmagania ze śmiercią. Stan dziewczynki był agonalny. W Klinice Chirurgicznej AM natychmiast przystąpiono do operacji. Ustalono przedtem, iż dziecko miało rozległe obrażenia czaszki wynikłe od uderzenia tępym narzędziem, ranę ciętą długości kilkunastu centymetrów w okolicy V żebra po stronie prawej w linii pachowej i środkowej nie przenikającą do jamy opłucnej. Duże wylewy krwawe na czaszce, ramieniu i przedramieniu. Źrenice nierówne, co wskazywało na uszkodzenie mózgu, oczodoły miały krwawe podbiegnięcia, na przedniej części szyi podbiegnięcia krwawe i otarcia naskórka. Na kończynach dolnych liczne głębokie zadrapania, krwawe podbiegnięcia i otarcia naskórka na udach. Obrażenia krocza wskazujące na dokonanie gwałtu. Na kończynach i plecach ślady trawy i ziemi, co wskazywało na wleczenie dziecka po ziemi porosłej trawą. Lekarze wykluczyli, aby uraz klatki piersiowej mógł powstać np. od wystającego korzenia w czasie wleczenia i stwierdzili, iż z całą pewnością jest to uraz zadany ostrym narzędziem, najprawdopodobniej nożem. Dziewczynka słabo reagowała na bodźce ruchowe, tętno było nitkowate, skóra szaroziemista.

Natychmiast wykonano trepanacyjny otwór zwiadowczy w prawej okolicy skroniowej. Opona twarda nie tętniła, a po jej nacięciu trysnął spod niej płyn mózgowo-rdzeniowy na wysokość 30 cm. Jak wyjaśnił później adiunkt Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Łodzi, dr Zygmunt Fiodorczuk, długość utrzymania się dziewczynki przy życiu bez udzielenia pomocy była uzależniona od szybkości narastania wodniaka wewnątrzczaszkowego. Wodniak, który powstał na skutek urazu czaszki powodował wzmożone ciśnienie wewnątrzczaszkowe i ucisk na centralny układ nerwowy. Gdyby dziecko jeszcze parę godzin pozostało bez opieki lekarskiej, utrzymanie go przy życiu byłoby wykluczone.

c. d. n.

# Jan Pilarz w gościnie u łódzkich pisarzy

W tych dniach została podpisana między Związkiem Pisarzy Czeskich i Związkiem Literatów Polskich umowa o wymianie kulturalnej. Ze strony pisarzy czeskich obecni byli przy podpisywaniu poeci Ivan Skala i Jan Pilarz zarazem znakomity tłumacz poezji polskiej, dyrektor wydawnictwa „Ceskoslovensky Spisovatel".

Uroczystość w Warszawie zgromadziła przy tradycyjnej lampce wina przedstawicieli ambasady czeskiej, Czeskiego Ośrodka Informacyjnego w Warszawie, przedstawicieli Zarządu Głównego ZLP, wydawnictw i tygodników literackich, a także wybitniejszych tłumaczy literatury czeskiej.

Z wyżej wymienionych gości czeskich szczególnie bliski jest nam Jan Pilarz, który odwiedził obecnie także Łódź, podejmowany przez nasz Związek i redakcję „Odgłosów". Od kilkunastu lat przekłada on i wydaje niestrudzenie wiersze Władysława Broniewskiego, Konstantego Gałczyńskiego i Juliana Tuwima. Wydał także duży tom przekładów Staffa, z młodszego pokolenia przyswoił literaturze czeskiej poezje Tadeusza Różewicza. Jeżeli chodzi o poetykę, sądząc po przekładach, najbliższy jest mu Konstanty Gałczyński, którego utwory w języku czeskim brzmią tak jakby były w tym języku pisane. Są świetne.

Wizyta Jana Pilarza w Łodzi była dalszym ciągiem jego wędrówki po śladach tłumaczonych przez siebie poetów; wskazuje to na głębokie, żywe i bardzo osobiste związanie się z poezją wybranych przez siebie poetów. Tłumacz zwiedził miejsce rodzinne Broniewskiego — Płock, był między innymi także w leśniczówce Pranie, na Mazurach, gdzie powstały ostatnie, najpiękniejsze utwory Gałczyńskiego. W Pranie gościł Pilarza naczelny rybołówca polski, Jerzy Putrament. W Łodzi Jan Pilarz obejrzał dom, gdzie mieszkał Tuwim, jego szkołę, pomnik i Dom Kultury im. Juliana Tuwima.

Przy śniadaniu, którym podejmowali pisarze łódzcy czeskiego gościa, podzielił się on wiadomościami i ciekawostkami z czeskiego ruchu wydawniczego i poetyckiego. I tak:

Wydawnictwa czeskie nie są przedsiębiorstwami wyodrębnionymi państwowymi, jak w Polsce. Największe z nich, którego Pilarz jest dyrektorem, należy do Związku Pisarzy Czeskich. Wydawnictwo to wydaje przeciętnie 1 książkę dziennie i zatrudnia 300 pracowników. Całkowity dochód, a dochody są bardzo duże, idzie na cele Związku Pisarzy Czeskich. Czesi posiadają też od dawna Fundusz Literacki, o którego utworzenie my od wielu lat zabiegamy; fundusz ten zasilają wpływy z wydawania klasyków. Pozostałe wydawnictwa należą do organizacji i stowarzyszeń, jak np. wydawnictwo „Mlada Fronta", własność Związku Młodzieży Socjalistycznej, które specjalizuje się w wydawaniu debiutów i książek młodych pisarzy.

Niesłychanie ciekawa jest recepcja poezji w tym niewielkim stosunkowo, bo 10-milionowym narodzie. Poezja i poezjowanie jest tam chlebem powszednim. Ulubioną formą wydawniczą jest tam np. mały kieszonkowy format tomów poetyckich, przeznaczonych do szerokiego odbioru, w nakładzie 25,000 egzemplarzy!

W rozmowie z Pilarzem jako tłumaczem, który dokonawszy ogromnego trudu, jakim jest przełożenie całego niemal dorobku Broniewskiego, Gałczyńskiego i Tuwima, obecnie rozgląda się za nowymi sylwetkami poetyckimi z dwudziestolecia i dawniejszych lat — zainteresowaliśmy go Leśmianem i Czechowiczem. Dzieła ich zostaną przekazane tłumaczowi do Pragi Czeskiej.

Z Łodzi Jan Pilarz, pilotowany przez sekretarza Zarządu Głównego, poetę Jana Gisgesa, udał się do Nieborowa, miejsca powstania jednego z najlepszych utworów Gałczyńskiego — „Niobe".

Ze strony pisarzy łódzkich udział w spotkaniu z Pilarzem wzięli członkowie Zarządu Oddziału Łódzkiego ZLP, Marian Piechal, prezes, oraz Zofia Lorentz, Maciej Kononowicz, Wacław Mrozowski, Tadeusz Papier. Wydawnictwo Łódzkie reprezentował Leon Gomolicki, redakcję „Odgłosy": Wiesław Jażdżyński i Jarosław Marek Rymkiewicz. Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Czeskiej — tłumaczka wielu wybitnych czeskich utworów teatralnych granych na scenach polskich, między innymi także w Łodzi („Latarnia" Jiraska w Teatrze Nowym) niżej podpisana, wasz sprawozdawca

WANDA KARCZEWSKA

# POWRÓT KSIĘDZA PIROŻYŃSKIEGO

## *Dokończenie z 1 strony*

*bet musiałem odbezpieczyć mój rewolwer, a narażałem także i życie"* (?).

Konkludując dr Marcinkowski stwierdza, że „ohydne te sceny nie nadają się moim zdaniem do wyświetlania publicznego z uwagi na ich szkodliwość społeczno-wychowawczą dla zdrowia psychicznego i moralności pojętej w sensie racjonalnego wychowania seksuologicznego młodzieży i dorosłych". „Jaskrawa brutalność i sadystyczny realizm jest ponadto c a ł k o w i c i e z b ę d n y dla całości filmu"...(!)

Burza nie odbyła się jednak w szklance wody.

Film de Siki ukazał się wkrótce na ekranach, ale bez kluczowej sceny w kościele — mającej dla dzieła de Siki znaczenie zasadnicze. Każdy, kto przeczytał powieść Moravii, na której film oparto, kto widział film w wersji pierwotnej musi dostrzec, że właśnie scena w kościele jest *wykładnikiem idei* całego utworu. Chodzi przecież o podkreślenie momentu wstrząsu, jakim był gwałt dla młodej dziewczynki, a scenę zrealizowano zresztą z dużą kulturą artystyczną. Zainteresowanych odsyłam po szczegółowe uzasadnienie do doskonałej recenzji Z. Kałużyńskiego w „Polityce z 10. IV. br.

Historia biegnie jednak dalej. Posunięcie dr Marcinkowskiego posługującego się autorytetem swej wiedzy i stanowiska w celu okastrowania — bądź co bądź — dzieła sztuki — wywołało niemałe poruszenie w kołach kulturalnych Krakowa. W felietonie „Ostrożnie z listkami figowymi" zamieszczonym w „Dzienniku Polskim" z dnia 28. IV. „Bywalec" broniąc filmu „Matka i córka" przed zarzutami „szkodliwości i pornografii" zwrócił uwagę, że dr Marcinkowski, jako człowiek zajmujący istotne stanowisko społeczne zobowiązany jest do wystąpień przemyślanych i sensownych. Tym bardziej gdy chodzi o dziedzinę sztuki, która rządzi się swymi wewnętrznymi prawami. Nie trzeba było więcej... Na łamach „Wieści" dr Marcinkowski wytoczył więc znów stare działo ale zwiększył kaliber pocisków. Film de Siki okazał się już *„wyzwaniem rzuconym uczciwym ludziom, którzy wprawdzie kochają sztukę filmową*, ale żądają od niej odpowiedzialności. „A tymczasem: „sztuka filmowa rządzona okrutnymi prawami konkurencji w *pogoni za dolarem*, uzyskała opinię trucicieli umysłów i serc ludzkich, ukazując masom ludzi młodych lub niedojrzałych na ludzkiego upadku... Autor zarzuca gdzie indziej filmowi: „sadyzm, pogoń za makabrą *w celach zarobienia milionów dolarów na sensacji*, nieliczenie się ze społecznymi zamówieniami sztuki... i w praktyce *uczenie młodego widza... brutalności i „bezprawności zbrodni"*. („Dziennik Polski" dn. 27. V. 1962 r.). *„Szczytem okrucieństwa i sadyzmu jest film „La ciociara". Ma on: „wręcz charakter rasistowski i jest obelgą dla rasy czarnej, ukazując zwierzęce instynkty Afrykanów(!), nieobce niestety i nam". (!!!)* Może film) ponadto: „wywołać u niedojrzałego młodego widza (*potencjalnego przestępcy* właśnie przez niedojrzałość złe towarzystwo) *uczucie wzgardy dla każdej dziewczyny, popierając tezę chuligańską, że każda dziewczyna to ..., którą można bezkarnie gwałcić.*

Co więcej (vide cyt. wyż. „Dziennik Polski") — „Film on nie jest złym filmem — jest co gorsza — filmem dobrym artystycznie (jednak) i dlatego jego szkodliwość wychowawcza jest wielokrotnie większa od filmu złego...'"

Autor popiera tym razem wywody... „o złowrogiej roli kina..." cytatami, z których wynika, że w Los Angeles popełniane jest co wieczór 161 morderstw, 81 zabójstw ... ale w programie — TV! Zapobiegliwy dr. M. pragnący uchronić ludzkość od nerwic seksualnych kompleksów, nauki płodni mogących nastąpić po filmie „La ciociara" zwołał następnie spotkanie w studenckim Klubie „Zaczek" przy AZS w Krakowie na temat: wychowanie seksualne, a film „La ciociara". Zainteresowanie było ogromne. A to, czego się dowiedzieli uczestnicy zebrania — również. Argumenty, obok wyżej cytowanych, były także nowe. Choćby jak ten, że skoro w Polsce kastruje się filmy z jego ręką (chodzi o sceny nocy miłosnej z Zofią Marcinkowską, które usunięto z ekranowej wersji filmu Kutza „Nikt nie woła") to tym bardziej należy to czynić z Sofią Loren (!). Że film wyświetlano (jeden dzień (!) w dzielnicy słynnej z chuligaństwa (!) „a takim to wystarczy, by poszli potem gwałcić, skoro na ekranie nie widzą za to kary" (!)

Na próby argumentacji — że nikt nie odniósł „instruktażowego" charakteru filmu, a usunięcie sceny wywoła tylko ewentualne wzmożenie „fantazji" widza — padły uniwersalne riposty, że studenci są młodzieżą zepsutą i niewyuczoną seksualnie, a on zna się na tym lepiej. Jednemu z dyskutantów prowadzący nadał miano zboczeńca, gdy ten ośmiało przypomniał o pewnym księdzu wspomnianym przez Boya, który przed pół wiekiem obijał młotkiem Italia posągom w muzeum, by nie gorszyła się młodzież licealna chodząca tu na zwiedzanie... Dyskusja zakończyła się ostrym protestem sali przeciwko zniszczeniu filmu w imię wyimaginowanych treści pornograficznych, na które dr. M. zareplikował ciśnięciem teczki o stół — i wyjściem.

Dobitną konkluzją afery jest z pewnością sąd Juliusza Kydryńskiego, który w felietonie „Jak dzieci..." zamieszczonym w „Dzienniku Polskim" z 27. V. — pisząc o szerzącym się w społeczeństwie zjawisku infantylizmu, wkraczającym często na forum publiczne, stwierdza: *„Dość wymowym tego przejawem jest choćby ten zdumiewający fakt, że słynny film włoski „Matka i córka" poddano u nas wiernemu okaleczeniu usuwając z niego jedną, zasadniczo ważną, scenę. Stało się tak wskutek pewnej infantylnej interwencji. Można by mnożyć takie przykłady, bo przecież zdarzają się takie wypadki oceny dzieł literackich, przedstawień teatralnych, a także wszelkich innych przejawów twórczości i działalności — przez osoby, których stopień rozwoju do ocenianych przez nie dzieł i twórców jest stopniem embrionalnym".*

Nic ująć nic dodać. Sprawa filmu „Matka i córka", byłaby tylko przykładem przykrego nieporozumienia wynikłego z nadużycia autorytetu wobec władz kulturalnych i publiczności przez niekompetentną w sprawach kultury personę. Ale przebieg kampanii i przytoczona tutaj argumentacja, która tam padała, każe z niepokojem mówić o nowym powiewie ducha ks. Pirożyńskiego. A to jest znacznie gorsze.

WOJCIECH WIERZEWSKI

*Marylin Monroe*

# Dla kogo robią filmy?

Francuskie czasopismo „Cinemonde" urządziło błyskawiczną ankietę pod hasłem „Dlaczego i dla kogo robicie film?". To pytanie postawiono kilkunastu głośnym obecnie reżyserom filmowym. A o to kilka mniej lub bardziej krótkich, mniej lub bardziej szczerych, mniej lub bardziej błyskotliwych odpowiedzi:

Mówi znakomity reżyser francuski, Robert Bresson, twórca m.in. „Ucieczki skazańca", „Dziennika wiejskiego proboszcza", „Pickpocketa" i „Procesu Joanny D'Arc"... „Uważam, że film jest pismem, poematem, a nie widowiskiem. Chcę filmować wnętrze człowieka, duszę. Mam bowiem wysokie mniemanie o filmie i nie wyobrażam sobie by mógł on pozostać tylko środkiem odtwarzania miast być środkiem ekspresji. Film musi być dziełem swego realizatora i musi wyprowadzać publiczność w osobisty świat twórcy. Publiczność osądza film. Ale i twórca sądzi swoje dzieło. Kiedy sądy te pokrywają się, wówczas nie ulega wątpliwości że film został zrozumiany. Ale przede wszystkim należy mieć na uwadze, o ile nie doskonałość, to przynajmniej dążenie do czegoś nowego i lepszego. W istocie sztuka wymaga od nas jedynie wiele miłości."

Odpowiada reżyser hiszpański Louis Berlanga, reżyser m.in. „Witaj nam mr Marshall" i „Placido", filmu reprezentowanego na ostatnim festiwalu w Cannes. „Robię filmy ponieważ kocham ten zawód, który pozwala mi wyrazić siebie (chociaż wyrażanie siebie nie jest sprawą łatwą) i ponieważ bolał mnie zawsze bezwład kinematografii mego kraju. Nie wiem czy wnoszę do niej coś nowego i istotnego ale pracuję uczciwie i przyjęcie jakie zgotowała moim filmom zagraniczna publiczność dowodzi że film hiszpański może oddziaływać również i poza granicami kraju... Osobiście nie chce niczego proponować — obserwuję i pokazuję. Film winien być zwierciadłem w którym człowiek może się przeglądać i zobaczyć.

A oto głos kobiety — Agnes Varda — autorki głośnego dziś filmu „Cleo między piątą a siódmą": „Kręcę filmy nie zawodowo, nie z konieczności i nie przez próżność, ale tylko i wyłącznie dla przyjemności. Możność zrealizowania filmu raz na trzy lub cztery lata wystarcza mi najzupełniej do szczęścia. Chcę robić tematy, które mi się podobają i mieć czas do przemyślenia ich. Lubię traktować moje filmy jako „subiektywne filmy dokumentalne". Chodzi mi bowiem o to, by film odbijał rzeczywistość w której widzowie znaleźć mogą bodźce i materiał dla uświadomienia sobie pewnych spraw."

Odpowiada Gualtiero Jacopetti, wdowiec po Belindzie Lee, dziennikarz, prototyp bohatera „Słodkiego życia" twórca „Pieskiego świata", dokumentu który zgorszył, zafascynował i zaszokował uczestników tegorocznego Festiwalu w Cannes: „Chcę mówić w filmie to, na co mam ochotę, to co mi głęboko leży na sercu. I chcę to mówić do jak najszerszej publiczności zgodnie z mym najgłębszym pragnieniem i zgodnie z powołaniem sztuki filmowej."

Oddajemy teraz głos najwybitniejszemu przedstawicielowi młodej kinematografii argentyńskiej — Leopoldowi Torre-Nilssonowi: „Robię filmy ponieważ uważam je za najpotężniejszy oręż, oręż zdolny zmienić świat. Aby to osiągnąć trzeba by artysta umiał wyrazić siebie, aby potrafił przekazać publiczności to co myśli i czuje. Film jest spowiedzią na publiczny użytek. Skuteczność dzieła zależy od tego czy sięga ono w głąb rzeczy i wykracza poza łudzące pozory zjawisk. Na tym polega prawdziwy realizm. Wbrew opiniom niektórych ludzi, widzowie filmowi zdolni są uchwycić głęboki i istotny sens wydarzeń przedstawionych na ekranie."

Mówi młody reżyser amerykański John Frankenheimer, autor okrzyczanego filmu „Anioł gwałtu" reprezentującego kinematografię amerykańską na tegorocznym festiwalu w Cannes: „W wyborze tematów kieruję się zawsze ich głęboko ludzką treścią i staram się unikać wszelkich uproszczeń. Musimy pokazywać zwierciadło odbijające świat, w którym żyjemy, musimy zmusić publiczność do przejrzenia się w tym zwierciadle, by mogła ona pojąć dręczące ją problemy. Pracuję dla publiczności, ponieważ publiczność potrzebuje pomocy. Wszyscy odczuwamy potrzebę zrozumienia tego co się w nas dzieje. Dlatego, staram się powstrzymać od osądzania moich postaci, od osądzania ludzi w ogóle. Każdy winien patrzeć i myśleć, nie ma bowiem gotowego rozwiązania dla wszystkich problemów naszego ludzkiego istnienia."

Odpowiada Sidney Lumet, twórca „Dwunastu gniewnych ludzi": „Fascynuje mnie możliwość skoncentrowania kamery na jakiejś istocie ludzkiej i odkrycia całego bezmiaru spraw jakie kryje jej spojrzenie. Akcja, fabuła jest zawsze pułapką, która grozi ograniczeniem roli kamery do zwykłego narzędzia rejestrującego świat. A ten niezwykły, bajeczny wprost mechanizm jest okiem, które jak żaden inny środek ekspresji, potrafi przeniknąć i ujawnić najgłębsze pokłady emocjonalne. Film winien wykorzystać inteligencję maszyny którą dysponuje".

I wreszcie pozwolimy sobie przytoczyć zwięzłą wypowiedź, przedstawiciela francuskiej „nowej fali" Jean Luc Godarda („Do utraty tchu"), który na postawione mu pytanie po długim i głębokim namyśle odpowiedział: „Nie wiem".

Opr. M. K.

# Co nas czeka?

Niestety, muszę rozczarować Czytelników, że wbrew wyrażonej dwa tygodnie temu nadziei na poprawę repertuaru filmowego, nic rewelacyjnego nie czeka nas w najbliższym czasie w łódzkich kinach. Truizmem jest pisać to samo o tej porze, co roku — że potwór ze szkockiego jeziora Loch Ness już się na łamach prasy światowej ukazał, że wobec tego ogórki zaczynają się w teatrach i w kinach. Szczególnie z tym ostatnim jakoś trudno się pogodzić. Czyżby CWF chowała jakieś filmowe rodzynki na jeszcze większe kataklizmy polskiej „letniej" aury? O ile mi wiadomo, ekspozytura łódzka CWF dwoi się i troi, ażeby łódzki repertuar filmowy stał na dobrym poziomie artystycznym i zawierał atrakcyjne filmy. Pretensje trzeba więc chyba kierować do „ciała" zwanego szumnie Rada Repertuarowa, która od pewnego czasu niektórymi swoimi zakupami czyni jakby ruch lewą ręką za prawe ucho. Prawda, że w czerwcu „idzie" na ekranach superkasowy amerykański film Todda „W 80 dni" i urocze disneyowskie „Żółte psisko"; prawda, że jest jeszcze pikantna składanka filmowa „Francuzka i miłość", ale co poza tymi atrakcyjnymi, lecz na nie najlepszym poziomie artystycznym stojącymi filmami mają do zaoferowania łódzkie kina? „Jak się młody Noszty żenił" ma być tą rewelacją?

Nie jest też chyba rekompensatą „ŚPIĄCA KRÓLEWNA" Walta Disneya, zrealizowana w cinemaskopie i w kolorach. Perfekcja animacji, niewątpliwa frajda dla dzieci, przyjemny kolorowy obrazek dla ich opiekunów, coraz lepszy polski dubbing — to na pewno walory tego filmu, którym „nie można jednak zaspokoić gustów licznych rzesz kinomanów. W kategorii filmów dla dzieci i młodzieży mieści się też radziecki film „MALI MUSZKIETEROWIE", ukazujący trójkę uczniów, ich przeżycia i przygody. Mocno wypunktowany w tym filmie dydaktyzm jest cenny i wskazany dla dziecięcej widowni, ale naciągany już zbyt silnie w odniesieniu do młodzieży. A więc dwa filmy dla dzieci i młodzieży, która opuszcza miasto, bo przecież wakacje... i naprawdę nie pora dla niej na wysiadywanie w salach kinowych.

Co zostało dla widowni dorosłej? Prawdę mówiąc jeden tylko dobry film, który zestarzał się w swej aktualności. Zrealizowany w okresie ostatniej wojny w Związku Radzieckim był wtedy płomiennym wezwaniem radzieckich twórców filmowych z reż. Ermlerem na czele do walki ze znienawidzonym, hitlerowskim okupantem. „Wstrząsał tysiącami ludzkich serc". Wyświetlany podczas wojny w Nowym Jorku na Broadwayu wywołał nie tylko entuzjazm widowni, ale również ochotniczy zaciąg Amerykanek do oddziałów kobiecych. „ONA BRONI OJCZYZNY" z Wiera Marecką („Ziemia woła", „Matka") był jednym z najbardziej wstrząsających dramatów wojennych.

Biegunowo odległy w swej tematyce i formie jest „MELONIK I MUZY" reż. Roberta Daya. Poprawna tylko w formie, niczym specjalnym nie zaskakująca satyryczna groteska filmowa poświęcona jest nieznanemu w Polsce komikowi angielskiemu Antony Hancockowi, próbującemu w swym filmie ataku na angielski snobizm, na „znawców" współczesnej sztuki. Film jest niewątpliwie wymierzony przeciwko tendencjom buntu wymierzonego w ustalone, i uznawane przez Anglików ideały życia. W repertuarze czerwca, na który niżej podpisany sporo ponarzekał „Melonik i muzy" jest komedią, którą z braku lepszych, warto polecić. Co zostało poza „Melonikiem"? Oby filmowa Muza tchnęła w czynniki odpowiedzialne za repertuar filmowy więcej troski o kinomanów zdanych w okresie letnim właśnie tylko... na kino.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

odgłosy

ARYSTARCH

# O CZARNEJ MAGII, OPĘTANIU i SEKSUALIZMIE

Po książkach Seligmana i Ribeau-Delmasa, poświęconych tematyce czarnoksięstwa, piśmiennictwo francuskie wzbogaciło się o nowe studium w zakresie zagadnień czarnej magii. Jest nią książka Maurycego Bessy, napisana z iście francuską lekkością, zręcznością i pomysłowością, gdyż zawierająca historię magii w tysiącu ilustracjach z oszczędnym komentarzem. Tytuł: „Historia magii w tysiącu rycinach". Krytyka podkreśla, że autor nie ograniczył się do przedstawienia magii średniowiecznej i zachodniej jak to zrobili wspomniani Seligman i Ribeau-Delmas, lecz sięgnął aż do czasów starożytnych i do współczesnych wierzeń ludów prymitywnych, wykrywając ślady kultu Indian w rytuałach religijnych ludów Gwatemali. W swych poszukiwaniach Bessy nie cofnął się przed stwierdzeniem, że w cieniu rozkwitającej cywilizacji i nauki XX wieku lęgną się współcześnie pojęcia magiczne, jak na przykład, wiara w fenomeny opętania, pokutująca jeszcze w południowych Włoszech.

Co prawda, nas, Polaków, pod tym względem nic już zadziwić nie może. Przeżywaliśmy 40 lat temu w Polsce wielką rewelację: narodziny diabełka. W dniu 26 czerwca 1920 roku w krakowskim „Naprzodzie" ukazała się wiadomość, że po mieście krążą „senzacyjne" pogłoski, jakoby w klinice ginekologicznej 10-letnia Izraelitka urodziła „diabełka" z rogami, kopytkami i ogonem. Przed kliniką położniczą zaczęły gromadzić się tłumy domagające się, aby wpuszczono je do wnętrza i pozwolono na obejrzenie diabełka. Nie pomogły wyjaśnienia i perswazje personelu szpitalnego. Tłum zaczął przybierać agresywną postawę i dyrekcja kliniki musiała wezwać policję. Ale i po rozpędzeniu zabobonnej ciżby, przed szpitalem zbierały się gromady ludzi, wśród których zaczęła krążyć wieść, że diabełek ma być przewieziony karetką pogotowia na kolej i odtransportowany do jednego z zakładów antropologicznych w Berlinie, celem zakonserwowania szatanka w spirytusie.

A więc, po raz drugi w Krakowie duch niematerialny „z waporów ziemskich utworzony" przybrał jakoby już nie formę legendarną lecz — kształt cielesny, postać realną.

Napisałem „po raz drugi", gdyż za pierwszym razem miało to miejsce również w pobożnym Krakowie w 1543 roku, gdzie diabeł przyszedł na świat „jako potwór straszliwy", z płomiennymi błyszczącymi oczami, z grzbietem obrośniętym psią sierścią, z małpim pyskiem, łabędzimi nogami i półłokciowym ogonem, o czym pisał ksiądz Gabriel Rzaczyński, w roku 1721, a za księdzem powtórzył w „Czarach i czartach polskich" Julian Tuwim.

Historią czarnoksięstwa w Polsce jest bardzo bogata. Jednym z bardziej encyklopedycznych dzieł na te tematy jest Stanisława Poklateckiego „Pogrom czarnoksięskich błędów" (Wyd. 1595 r.). Poklatecki rozróżnia trojaką magię: a) naturalną, polegającą na dobrej znajomości ludzkich przywar, cnót itp. b) artyficjalną jako intencję człowieka stwarzającego różne mechaniczne dziwy. I wreszcie c) prawdziwe czarnoksięstwo — „dziwne czyniące skutki" na mocy umowy z czartem, wyraźnej lub domyślnej.

Jeszcze w drugiej połowie XIX wieku ksiądz M. Nowodworski w art. „Jaka jest nauka o diable" pisał tymi słowy o opętaniu i pokusie: „W pokusie szatan do człowieka ma się zewnętrznie, pokusą chce wolę człowieka skierować ku przyjęciu swojej woli; w opętaniu wkracza we wnętrze człowieka, działa jak trucizna na cały organizm ludzki dążąc do ogarnięcia wszystkich sił duszy, do nadania im kierunku przewrotnego chociaż w istotę duszy wniknąć i zupełnie jej woli siła opanować nie może... W opętaniu najwidoczniej pokazuje się istnienie i potęga złego ducha". Hm!... I jak tu skomentować takie uczone banialuki? Zostawmy lepiej te kwestie bez komentarza, pocieszając się, że fenomeny opętania w południowej Italii również nie zaimponują Polakom. Kto chciałby jednak zasięgnąć bliższych wiadomości na ten temat i zapoznać się z różnymi rodzajami egzorcyzmów i sposobami wypędzania złego ducha z ludzi nim opętanych, niech przeczyta świetne opowiadanie Jarosława Iwaszkiewicza „Matka Joanna od Aniołów", albo niech obejrzy film polski pod powyższym tytułem.

Literacka prasa francuska pisząc ostatnio na ten temat, przypomina, że podszewką opętania, a w ogóle magii jest erotyzm. Na ten temat ukazała się ostatnio interesująca książka w Wydawnictwie Pauverta pt. „Słownik seksuologiczny". W związku z tym wydawnictwem pisze „Arts", że nasza cywilizacja pomimo wielkiej swobody i liberalizmu (a może dzięki tej swobodzie i liberalizmowi) w sprawach seksualnych jest cywilizacją antyseksualną i antyerotyczną w tym sensie, że nie potrafi zharmonizować najgłębszych przeżyć o charakterze miłosnym z najwyższymi aspiracjami intelektualnymi.



JERZY WILMAŃSKI

# Ich drugi DOM

W sformułowaniu zawartym w tytule nie ma ani krzty przesady. Łódzki Dom Kultury Nauczyciela jest istotnie drugim domem owych paru setek nauczycieli, którzy spotykają się tutaj, aby podyskutować, poczytać czy choćby zagrać w brydża. Ważny jest jednak przede wszystkim fakt, że w Klubie Nauczycielskim — ta skądinąd sympatyczna rozrywka — na szczęście, nie dominuje.

Gdyby pokusić się o jakieś ogólniejsze określenie działalności klubowej musielibyśmy użyć dość schematycznego sloganu: praca i rozrywka. Praca — a więc ponad 800 nauczycieli uczących się w studium języków obcych, a więc sekcja bibliotekarska prowadząca pod kierunkiem pani Alicji Napiórkowskiej comiesięczne zajęcia teoretyczne dla nauczycieli opiekujących się bibliotekami szkolnymi. Praca — a więc współdziałanie z organizacjami społecznymi, choćby z Towarzystwem Higieny Psychicznej. W ramach tej współpracy organizowane są spotkania nauczycieli z wybitnymi pedagogami, psychologami, oficerami MO nawet.

Dom Kultury Nauczyciela służy jednak głównie rozrywce i tak chyba być powinno. W klubowej działalności artystycznej weteranem jest 60-osobowy chór, dwukrotny „mistrz Łodzi" działający od 10 lat. Kilka lat temu „śpiewający nauczyciele" z Łodzi koncertowali nawet za granicą, a mianowicie w Czechosłowacji. Nie taka to znowu wielka zagranica, ale przecież rangę artystyczną zespołu taki wojaż w jakiś sposób określa. W repertuarze chóru znajdziemy kompozycje Chopina, Moniuszki, ze współczesnych: Jana Krenza. Bardziej współczesnych kompozytorów zespół jeszcze „nie przerabiał", ale poczekajmy, może i na Pendereckiego przyjdzie czas.

Jeśli już mowa o tym, na co przyjdzie czas, byłoby chyba nieźle, żeby jak najprędzej przyszedł czas na wzbogacenie zbiorów biblioteki klubu. 4000 tomów nie jest na pewno szczytem możliwości, na jakie stać Związek Nauczycielstwa Polskiego. Owszem, istnieje w Łodzi Biblioteka Pedagogiczna, ale Dom Kultury, będący niejako nauczycielskim centrum nie tylko naszego miasta, ale i województwa, winien przecież legitymować się większą liczbą pozycji niż przeciętna szkoła średnia.

Zresztą klub nauczycielski jest placówką kulturalno-oświatową o zasięgu wykraczającym na pewno poza ramy środowiska. Do klubu przychodzą, ba, są jego czynnymi członkami także lekarze, inżynierowie. Kierownik placówki, Witold Czerlica, doliczył się, aż 15 klubowych mariaży zawartych między nauczycielkami, a przedstawicielami innych zawodów. Określenie klubowy mariaż jest tu zupełnie na miejscu. Owych 15 par tu się właśnie poznało, zakochało i... przychodzi tu nadal. Czasem nawet z potomkiem.

Tak więc pryskają obawy piszącego te słowa, który podejrzewał (wybaczcie!) klub o ekskluzywność, o wyobcowanie. Fakt — większość bywalców i aktywistów Domu Kultury Nauczyciela to ludzie młodzi, ale przecież trudno upatrywać zło w tym naturalnym fakcie. Młodzi nauczyciele często niezwiązani więzami rodzinnymi mają więcej czasu, odczuwają większą potrzebę rozrywki, zabawy. Ale klub nie jest środowiskiem zamkniętym. Ani w sensie wieku, ani w sensie profesjonalnym. I to na pewno bardzo dobrze.

Bardzo dobrze się również stało, że działająca już od ośmiu lat Estrada Literacka przeszła ostatnio małą metamorfozę. Początkowo istniał tak zwany zespół recytatorski — było to w epoce zespołów (ludowych, fabrycznych, studenckich). Potem przyjęto nazwę Estrada Literacka. I słusznie. A ostatnia metamorfoza jest nieco... kabaretowa. „Niewidziane rzeczy w świecie, co oni w tym „taburecie" (Boy, „Słówka" str. 157).

A właśnie. Co oni w tym „taburecie"? To, co zobaczyliśmy, było na pewno zachęcające. Dodatkowy smaczek tkwi jeszcze w tym, z jakim temperamentem wywija nogami „pani od geografii", jak szarmancko podkręca wąsa (przyklejonego?) „pan od matematyki". No, ale wycieczek szkolnych klub chyba na występy kabarecik organizował nie będzie.

Program kabaretowy, którego ostatnie próby odbywają się w chwili, gdy czytacie te słowa, ma na celu pokazanie początków łódzkiego kabaretu. Wśród tekstów znalazły się także utwory niejakiego Rocha Pekińskiego. Był to pseudonim pewnego ucznia gimnazjalnego, który w istocie nazywał się... Julian Tuwim. Oprócz tekstów Tuwima (których na pewno nie znajdziecie w żadnym publikowanym zbiorze (znajdą się w programie również utwory bodaj pierwszego łódzkiego poety Artura Gliszczyńskiego, zwanego przez współczesnych łódzkim Berangerem.

Oczywiście, nie miejsce tu na ocenę kabaretowych uzdolnień ciała pedagogicznego. Nie o to zresztą chodzi — trudno przykładać zawodową miarę do amatorskiego zespołu. Rzecz w czym innym. Wydaje się, że chyba dobrze jeśli zespół szuka nowych form, próbuje sił w tańcu, piosence. Zasób doświadczeń zdobyty w trakcie pracy nad programem (kabaretowym czy recytatorskim) z pewnością w sposób bardziej lub mniej bezpośredni przekazany zostanie uczniowi. Bo taka już jest specyfika zawodu nauczyciela, że swą wiedzę i wiadczenie przekazuje nym. I może to jest niejszy aspekt, w jakim leży oceniać działa artystyczną Domu K Nauczyciela.

Podobnie zresztą wy sprawa z Sekcją Plas Oczywiście, organizuje wystawy malarskie n cieli. Członkowie Sek trzymują nagrody nawet wystawach centralnych, czywiście, cieszyć może że p. Józef Siejka otrz ostatnio nagrodę za o wystawione w gm CRZZ. Ale i tu sprawa kończy się na nauczy Wystarczy zobaczyć jak lują uczniowie Józefa S z aleksandrowskiej S nr 4 — by zrozumieć, lent, pasja i doświadc przekazywane są dal uczniom.

I chyba właśnie ta ność promieniowania Kultury Nauczyciela, ralny fakt przedłu działalności klubu na na uczniów, jest tym istotniejszym pozytywem mioletniej już pracy turalno-oświatowej zog wanej na pierwszym secesyjnej kamienicy ul. Piotrkowskiej.

ZDJĘCIA: W. BILIŃ

HENRYK WALENDA

# Powroty L. Jurdzińskiej

Zazwyczaj bywa tak, że aktorzy traktują łódzkie teatry jako odskocznię — tu zdobywają doświadczenie, doskonalą umiejętności, by przy pierwszej nadarzającej się okazji odejść — zazwyczaj do stolicy. Nie chodzi o rozdzieranie szat, w końcu sprawa życiowych ambicji nie powinna być kwestionowana.

Niemniej jednak przyjemnie pisać o aktorce, której życiową karierę sceniczną charakteryzował nieustanne powroty do naszego miasta. Mowa o Leokadii Jurdzińskiej-Urbańskiej, której 35-lecie obchodzone było w ubiegłą sobotę.

Urodzona łodzianka zadebiutowała, po ukończeniu studia B. Oleckiej-Orlot, w „Krysi Leśniczance" — był rok 1927, okres dyrekcji J. Pilarskiego w Teatrze Popularnym. Nie minęło wiele czasu, a L. Jurdzińska królowała jako ulubiona primadonna w operetce i komediach muzycznych. Wyjeżdża — Toruń, Lublin, Bydgoszcz, Częstochowa — ale zawsze wraca i wojna zastaje ją w połączonych Teatrach Miejskich. Po prawie pięciu latach publiczność ma znów okazję zobaczyć Jurdzińską, tym razem podczas koncertów w Ziemiach Odzyskanych. Wkrótce, bo w 1946 r. objęła dyrekcję teatru w Słupsku. Wystawia tam m. in. „Ich czworo", „Skąpca" i „Damy i huzary", zbierając pochwały krytyki i uznanie publiczności za swe ówczesne kreacje.

Rok 1947 zastaje L. Jurd w Łodzi, potem krótka p (dla Opola) i wreszcie ostatni — w 1952 r. do Ziemi Łódzkiej.

Nikomu nie trzeba tłum jak trudna jest praca w objazdowym. Ale Jubila nie odstrasza. Przeciwnie daje otuchy, opiekuje się szymi kolegami, zadziwia wą i humorem. W komedii cha, lubi, szanuje", która brała na swój Jubileusz, o na młodymi kolegami, wy ła się chwilami tak samo d., pełna temperamentu TZŁ zadano sobie trud czono, że w ciągu z górą nasza Jubilatka występowa miastach i miasteczkach 1.400 razy, że w swych w kach przejechała 200 tys. spędziła 5 tys. godzin w karze.

Ileż za tymi liczbami się umiłowania dla sztuki tralnej, niesionej do ludzi których spotkanie z TZŁ często pierwszym spotkani Melpomeną, ileż osobistych rzeczeń.

Życzymy Leokadii Jurd skiej-Urbańskiej by następ lat upłynęło równie ow by starczyło jej sił i zd na dalsze wędrówki. Grat my jednocześnie przyzn Jubilatce przez Radę Pa Z okazji Krzyża Zasługi jak nież Honorowej Odznaki m dzi.

# TO SĄ TARGI

Dalszy ciąg ze str. 1

*Włoska noga*

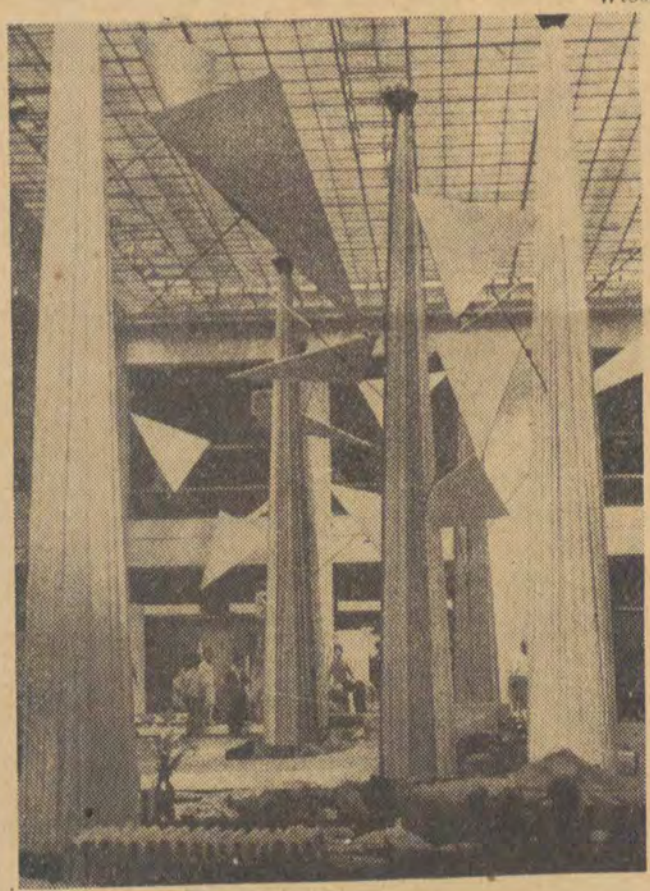

*Polska tkanina*

*Amerykanin w Poznaniu*

*Czar nowych kółek (włoski salon samochodowy)* *Fot. Andrzej Kondratiuk*

## OKNO NA 5 KONTYNENTÓW:

**Brakuje tylko Antarktydy, ale ona nie liczy się w handlu zagranicznym. W Poznaniu można więc zobaczyć wyroby następujących krajów: Austrii, Belgii, Bułgarii, CSRS, Danii, Finlandii, Francji, Grecji, Hiszpanii, Holandii, Islandii, Jugosławii, Lichtensteinu, Monaco, NRD, NRF, Norwegii, Portugalii, Szwajcarii, Szwecji, Turcji, Węgier, Włoch, Wielkiej Brytanii, ZSRR.**

## KRAJE POZAEUROPEJSKIE:

**Egipt, Etiopia, Ghana, Kenia, Madagaskar, Mozambik, Nigeria, Mali, Togo, Tunezja, Unia Południowo-Afrykańska, Argentyna, Brazylia, Chile, Ekwador, Haiti, Kanada, Kolumbia, Kuba, Urugwaj, USA, Cejlon, India, Indonezja, Irak, Izrael, Japonia, Malaje, Singapur, Pakistan, Australia, Nowa Zelandia, Tahiti.**

## ŁÓDŹ... W POZNANIU:

**oczywiście wyroby łódzkich fabryk przemysłu włókienniczego występujące na Targach pod wspólną wizytówką „CETEBE" — Centrali Eksportowej Tekstyliami. Oferujemy do sprzedaży ok. 1500 wzorów tkanin bawełnianych, 700 — materiałów wełnianych i ok. 800 nowych wzorów odzieży, tkanin jedwabnych i wyrobów dziewiarskich. Świetnie prezentuje się kolekcja obuwnicza: 750 modeli butów. Eksport wyrobów przemysłu włókienniczego przyniósł nam w roku ubiegłym tylko za samą „wełnę" — 17,8 mln. dolarów. W roku 1938 zarabialiśmy na całym włóknie niewiele ponad 4 miliony dolarów.**

## ALFABET
### czyli kto i co chce sprzedać

AUSTRIA: ciekawe urządzenia elektrowniczne wyręczające w kontroli człowieka: BUŁGARIA — niespodzianka, zamiast surowców i owoców — kompletne obiekty przemysłowe! CSRS — oczywiście samochody, ale również traktor-maszynę do pielenia buraków wyposażoną w czujniki elektronowe; DANIA maszyny pralnicze (czysta i wyprasowana koszula w 5 minut!) oraz aparatura nawigacyjna; ETIOPIA — 2 kupców oferuje owoce południowe, FINLANDIA — celulozę, GRECJA — marmury, ale również tytoń, chemikalia i skóry, HOLANDIA — urządzenia rentgenowskie i turbiny; INDONEZJA — kauczuk, JUGOSŁAWIA — silniki okrętowe, samochody, skutery i telewizory, KUBA — tytoń, owoce; LICHTENSTEIN — precyzyjne aparaty, wysokopróżniowe; MOZAMBIK — sisal do wyrobu lin okrętowych; NRD — najnowocześniejsze maszyny drukarskie, OCEANIA — muszle perłowe, wełnę i wanilię; MALI — orzeszki ziemne; SZWAJCARIA — zegarki (bez nakręcania), aparatury dentystyczne (podobno działają bezboleśnie!); TUNEZJA — wyroby cukiernicze; USA — buty, w których można chodzić po wodzie, ale i setki niezwykle praktycznych przedmiotów gospodarstwa domowego, maszyny rolnicze, jachty; WĘGRY — telewizory, nowoczesne autokary, motocykle; ZWIĄZEK RADZIECKI — 4 tysiące wyrobów począwszy od konfekcji dla pań, a kończąc na łożyskach tocznych i maszynach włókienniczych.

## POLSKA:

dominującą jest ekspozycja przemysłu ciężkiego. W jednej z hal pokazuje się fragmenty kompletnych obiektów przemysłowych: cukrowni, elektrowni, zakładów metalowych. Czy wiecie, że Polacy budują w Holandii rafinerię cynku, w Iraku, Finlandii, Indonezji — zespoły zbiorników paliw płynnych, w ZSRR, Chinach, Wietnamie — cukrownie i cementownie, wg polskich projektów, sprzedanych w Poznaniu, na MTP.

„PRZEDSZKOLE" XXI MTP mogą zwiedzać wyłącznie dorośli i starsza młodzież. Dzieciom do lat 14 — wstęp wzbroniony! Dla rodziców, którzy nie mają gdzie zostawić swych pociech w poznańskiej Palmiarni przygotowano „przedszkole" — przechowalnię dzieci!

## POZNAŃ BLIŻEJ ŚWIATA

na okres trwania MTP Poznań otrzymał połączenia specjalne telegraficzne, telefoniczne, telexowe oraz fototelegraficzne ze stacjami CSRS, Danii, Finlandii, Francji, NRD, NRF, Norwegii, Rumunii, Szwecji, Węgier, Anglii, Włoch, ZSRR. Na lotnisku w Ławicy lądują samoloty utrzymujące bezpośrednią komunikację z Amsterdamem, Atenami, Belgradem, Berlinem, Budapesztem, Brukselą, Londynem, Moskwą, Paryżem, Rzymem, Pragą, Vilniusem, Wiedniem i Zurichem.

Wiadomości w świat przesyłają dziennikarze — przedstawiciele gazet 35 krajów całego świata. Obsługę prasową dla kraju zapewnia około 40 dziennikarzy.

★

TAK, TO SĄ TARGI. UCHWYCONE NA GORĄCO, W LICZBACH. TO SĄ TARGI. NAJWIĘKSZY EGZAMIN POLSKIEGO HANDLU ZAGRANICZNEGO.

**KRZYSZTOF POGORZELEC**

## WSPÓŁCZESNA POEZJA BRAZYLIJSKA

Niezbyt chyba właściwa polityka wydawnicza sprawiła, że synonimem współczesnej literatury brazylijskiej stała się dla nas twórczość Jorge Amado. Nieliczni wiedzą o tym, że po 1945 roku przetłumaczono na polski jeszcze jedną powieść Machado de Assis, jedną Gracilano Ramos, jedną Frederica Schmidt... No i dwie sztuki drukowane w „Dialogu". A wiersze? W antologii „Polska w poezji narodów świata" zamieszczono trzy wiersze brazylijskie, ale w dziale „Portugalia". Wszystkie — dziewiętnastowieczne. Do tego dodajmy jeszcze kilka utworów poetyckich drukowanych w czasopismach — głównie w „Orce". O ile się jednak orientuję współczesna poezja brazylijska jest u nas bodajże całkowicie nieznana.

Brazylijscy historycy i krytycy literatury uważają, że poezja brazylijska znajduje się obecnie — od roku 1922 w okresie „modernizmu". Ponieważ okres czterdziestu lat jest dosyć długi, zaczyna się rozróżniać w nim trzy „pokolenia" — „pokolenie" roku 1922, roku 1930 (okres dyktatury Vargasa) i roku 1945.

Wielką manifestacją twórczości „pokolenia roku 1945" stał się Kongres Poetycki, zorganizowany przez „Revista Brasileira de Poesia" w Sao Paulo w 1948 roku. Na kongresie tym wielki sukces odniósł urodzony w 1920 r. Joao Cabral de Mela Neto, którego wiersz „Psychologia kompozycji" prezentujemy obecnie naszym czytelnikom.

Autor drugiego wiersza („Urzekająca pustka") — Ledo Ivo, należy również do „pokolenia roku 1945" — urodzony w 1924 roku debiutował wprawdzie już w 1944 roku tomikiem „As imaginaçoes", ale twórczością swoją wyraźnie odróżnia się od tych poetów, którzy wprawdzie piszą po dzień dzisiejszy (jak np. Manuel Bandeira czy Cecilia Meireles), ale „nadawali ton" przed rokiem 1945.

JOAO CABRAL DE MELA NETO

## PSYCHOLOGIA KOMPOZYCJI

I.

Wychodzę ze swego poematu
jak ktoś, kto obmywa dłonie.

Przeobraziły się niektóre muszle,
przez słońce oczekiwania
skrystalizowane; niektóre słowo,
które odpiąłem, jak ptaka.

Być może jakaś muszla
z tamtych, albo ptak, wspomnij,
wklęsły, ciało gestu
dawnego, wypełnionego już przez powietrze:

być może, jak koszula
pusta, którą zdjąłem.

II.

Ten biały liść
określa mi sen,
podnieca mnie do wiersza
wyrazistego i dokładnego.

Chronię się
na czystej plaży,

gdzie nie ma niczego,
na czym by się zatrzymała noc.

Skoro nie ma nocy,
przestaje bić źródło;
skoro nie ma źródła,
ustaje wszelka ucieczka;

skoro nie ma ucieczki,
nic nie przypomina upływu
czasu twojego, na wietrze,
który dmie weń czas.
1947

Tłumaczył z portugalskiego
EDWARD MARTUSZEWSKI

LEDO IVO

## URZEKAJĄCA PUSTKA

Wymyślam kwiat, coś więcej niż kwiat — kroplę rosy,
która wracając poświadcza sobą świt.
Wymyślam lustro, coś więcej niż lustro — miłość,
w której siebie widzę, żywego, w sarkofagu.
Życie, to poddasze przesądów,
pozwala, że wymyślam je swoimi słowami,
swoimi smokami, zwyciężonymi przez magię.
I nie przestrasza mnie to, że — chociaż śmiertelny —
poddany przekleństwu powracania,
wyhodowałem różę wieczną, jak róże,
których nie ma w naszej efemerycznej florze.
Sen o śnie — życie — wraz z wiatrem mija
pustymi wspomnieniami. Moja róża umiera,
aby stać się wieczną, będąc pustym światem.
1951

Tłumaczył z portugalskiego
EDWARD MARTUSZEWSKI

## O tych co na morzu 2

MIROSŁAW AZEMBSKI

# PRAKTYKANCI na trasie KOLUMBA

Za naszą lewą burtą ukazały się w dali brzegi Hiszpanii, a morze uspokoiło się naraz i przybrało kolor niebieskiej farbki do prania. Wkraczaliśmy właśnie na słynną trasę Kolumba.

Młody, niewysoki i pulchniutki oficer szkoleniowy, z racji swojej funkcji zwany Wodzem Praktykantów, po raz pierwszy wyprowadził swoich podkomendnych na pokład i ustawił ich w szereg. Praktykantów płynęło z nami dwunastu, byli to słuchacze ostatniego roku szkoły morskiej, zarówno z wydziału nawigacyjnego, jak i mechanicznego; rejs odbywali w ramach wakacyjnych ćwiczeń. Lekko wystraszone chłopaczki miały właśnie zadebiutować w prawdziwej pracy na okręcie. Wódz odkładał dotąd ten start, powołując się na złą pogodę, niebezpieczeństwo grożące niedoświadczonym młokosom itp., itp. Istotna przyczyna opóźnienia było najpewniej lenistwo, ale Kapitan nie starał się nigdy podważać wspomnianych argumentów.

— Niech im tam trochę pofolgują — mówił teraz Kapitan patrząc na rozwinięty szereg młodzieniaszków. — W końcu ja sam za wiele się kiedyś nabiegałem po rejach „Daru Pomorza", a jedynym pożytkiem, jaki wyniosłem ze szkoleniowego rejsu, były doświadczenia podróżnicze, które wykorzystałem w noweli pt. „Dziewczyna, korsarz i ja". Zresztą i te okazały się niewiele warte; pisałem tam o drzewach ananasowych, tymczasem dowiedziałem się później, że ananasy rosną w ziemi, podobnie jak nasze buraki. Co gorsza, wiedzieli o tym czytelnicy owej gazety, która nowele wydrukowała; posypały się protesty do redakcji i musiałem skończyć moją literacką karierę.

— Tak, niech im pofolgują — wtrącił kąśliwie Inżynier. — Przybędzie jeszcze osłów we flocie, chociaż i tak jest ich niemało. Ty i ja, skakaliśmy po rejach — to prawda. Nikt nam wtedy nie folgował, nikt nas nie prowadził za rączkę, tak jak ich się teraz prowadza. I chyba dlatego staliśmy się kimś. Myślicie, że te historie o chłopakach, którzy przed wojną uciekali z domu i przymierając głodem kończyli szkołę morską — to bujda? Tak było naprawdę. Nikt nas do morza nie zachęcał, a raczej przeciwnie. Sam znam jednego, który przez pierwszych parę miesięcy nauki sypiał w porcie między beczkami; ale dopiął swego, szkołę skończył i jest pierwszorzędnym kapitanem. Dzisiaj? Gazety zachęcają młodzież, LPŻ zachęca młodzież, państwo płaci za młodzież, praktykę dostają nie na starych trumnach, tylko na eleganckich motorowcach; wszystko się zgadza prócz kasy — prócz tego, że oni uczyć się nie chcą...

— Inne dzisiaj mamy czasy, trzeba to rozumieć — rzekł Kapitan. — Wtedy posiadaliśmy dwa statki na krzyż, więc po co było zachęcać ludzi? Przypominam sobie te skandale, które się rozgrywały z końcem każdego roku szkolnego. Absolwenci wychodzili ze świadectwami w kieszeni i na ogół mogli się nimi... Pracy nie było. Pamiętasz faceta, którego nazywaliśmy Murzynem? Otóż Murzyn otworzył sobie drogę do „kariery" dzięki umiejętności pływania. Gruchnęła kiedyś wiadomość, że idzie do Gdyni statek kompanii „Robur" i ma wakat na stanowisko asystenta. Zgromadziliśmy się wszyscy w porcie. Wiedzieliśmy, że ten dostanie prace, kto pierwszy zgłosi się do kapitana. Staliśmy tak na jesiennym wietrze, wszyscy z dobrymi świadectwami w zanadrzu troszeczkę rozdrażnieni: musieliśmy przecież wystąpić do walki konkurencyjnej — my, dobrzy koledzy.

„Robur" podszedł dosyć blisko basenu portowego i rzucił kotwice na redzie. Wtedy Murzyn zrobił coś takiego, na co nie każdy by się zdobył. Błyskawicznie ściągnął szatki i buch do wody. Zanim żeśmy się połapali w sytuacji, odpłynął już kilkadziesiąt metrów od brzegu. Któryś z nas zanurzył rękę w wodzie: była lodowato zimna.

Murzyn płynął ze dwadzieścia minut. Krzyczeliśmy i machaliśmy rękami. To samo ludzie na „Roburze", którzy na szczęście wczas go spostrzegli. Spuścili trap. O własnych siłach Murzyn wszedł na pokład. W kalesonach zameldował się u kapitana. Dostał prace. Nikt z nas nie czuł w sercu zawiści: pobił nas na głowę...

Opowiadania o dawnych sprawach pracy i płacy potoczyły się teraz chyżo. Z wielu przykładów nadprodukcji marynarzy i chytrych sposobów regulowania dopływu kadr, na uwagę naszą zasłużył zwłaszcza jeden, zacytowany przez Drugiego Oficera. East Asiatic Company, towarzystwo żeglugowe z kórego wyłonił się późniejszy GAL (polsko-duńska Gdynia-America Line), otworzyło sobie po prostu własny... dom dla podrzutków. Wychowywało te dzieci, kształciło je, a gdy dorosły, sortowało według możliwości i talentów: ten z podopiecznych zostawał nawigatorem, tamten radiotelegrafistą, inny urzędnikiem w biurze Kompanii. Płace mieli wprawdzie niższe niż marynarze „z wolności", ale brakło im argumentów przeciwko chlebodawcom: wszakże kompanii zawdzięczali wszystko...

— Wprawdzie i u nas istnieje rezerwa marynarska — kończył Drugi Oficer — ale trzeba powiedzieć, że angażowanie na nowe statki odbywa się sprawiedliwie, długo czekać nie trzeba, bo nasze stocznie pracują nielicho... Od kilku lat ledwie jest taki porządek — ale jest. No, a sporo naszych pływa przecież w obcej flocie, w szwedzkiej, niemieckiej; nietrudno dzisiaj dostać zezwolenie na kontrakt.

W tym momencie podszedł do Kapitana pulchniutki Wódz i z zatroskaną miną oświadczył, że niestety nie może zlecić praktykantom zadań na pokładzie: fala zwiększa się wyraźnie. Spojrzeliśmy przed siebie. Być może. Gdzieś tam, na gładkiej na ogół powierzchni, pojawiła się jedna i druga biała grzywa.

— To pana sprawa — mruknął kapitan. — Pan nimi dowodzi.

Wódz wychylił się z mostku i krzyknął:

— Rozejść się. Zajęcia jutro.

Inżynier patrzał triumfująco na Kapitana, jak gdyby przewidywał z góry ten właśnie rozwój wypadków.

— Rejs jest długi — powiedział Kapitan. — Dwadzieścia dni przelotu, bez postoju w porcie. Niebawem sami przygniotą swojego szefa, żeby im dał robotę. Sami spróbują obrony przed nudą...

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

# WOJSKO i LITERACI *czyli* wczasy pod lufą

Sądzę, że nie można by pod adresem współczesnej literatury polskiej wysunąć zarzutu, że nie interesuje się ona tematyką wojenną. Przeczą temu fakty: „Wrzesień" Putramenta, „Dni klęski" i „Skąpani w ogniu" Żukrowskiego, „Moja kompania" i „Kwiecień" Hena, „Tren" Czeszki, pisarstwo Bilińskiego, Hamery, Huberta, Machejka, Przymanowskiego i wielu innych. Taka refleksja nasunęła mi się w czasie Konferencji Warszawskiej poświęconej zagadnieniu współpracy „Wojsko — literaci", a zorganizowanej 16 czerwca br. przez Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego i Związek Literatów Polskich.

Od dość dawna obserwuje pomysłowe i udane próby Wydawnictwa MON i Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego zmierzające do pogłębienia zainteresowań środowisk literackich różnych miast tematyką wojskową. Konkurs Wydawnictwa MON w 1961 r. uważa się za poważne wydarzenie kulturalne. Przyniósł on cenne pozycje beletrystyczne wymienionych już — Hena, Putramenta, Żukrowskiego, ale i ponadto: Bratnego, Jagielskiego, Wilczka i innych. Kto wie czy i rezultaty Konferencji Warszawskiej nie okażą się równie owocne?

Inicjatywa Zarządu Politycznego nie ma na celu sztucznego wylęgu utworów o wojsku. Sam temat jest tak atrakcyjny, że przyciąga pisarzy, którzy pragną się z nim zmierzyć. Armia to społeczność ludzka podlegająca ciągle szybkim i ciekawym przemianom. Warto przyjrzeć się im bliżej. A więc, przede wszystkim, uderza w porównaniu z dawnym przedwrześniowym drylem odmienny typ dyscypliny w wojsku ludowym. Demokratyzacja stosunków między korpusem oficerskim a żołnierzami doprowadziła do współżycia na stopie koleżeńskiej. Wymogi nowoczesnej skomplikowanej techniki wojskowej zmuszają szeregowych i podoficerów do ciągłego podwyższania kwalifikacji, a tym samym do pod

# NA MARGINESIE CICHEJ ŻAKINADY

W ramach ogólnopolskiego nawiązywania do tradycji historycznych zrodziły się w ostatnich latach dwie imprezy młodzieżowe: juvenalia studenckie i szkolne żakinady. Jeżeli juvenalia mają rzeczywiście jakieś tradycje, to chyba w takich ośrodkach uniwersyteckich jak Kraków czy Toruń. Przenoszenie ich np. do Łodzi musiało wyglądać sztucznie. Herold trąbiący hejnał z ratusza na Placu Wolności, który hejnałów nigdy nie słyszał. Żaki w strojach pachołków rycerskich z okresu średniowiecza, których próżno szukać w historii naszego miasta. Młodzież mówiła „śmierć frajerom", ale bawiła się tym nieco bezsensownym pomysłem. Na pochwałę zasługiwała jednak inicjatywa tworzenia tradycji miasta akademickiego, ale czy koniecznie trzeba było to robić w nieprawdziwym kostiumie historycznym, skoro nie możemy się zdobyć na studenckie czapki? Juvenalia zniknęły. Tu i tam grymaszono trochę, że przebierańcy „rozrabiają", zakłócają porządek miasta i inne nieprzyjemne rzeczy.

Z żakinadami młodzieży szkolnej, które miały podobny charakter, tyle, że obejmowały uczniów szkół średnich, zawodowych i ogólnokształcących — było podobnie. Przekonaliśmy się o tym na przykładzie tegorocznej żakinady, która minęła zupełnie niezauważona. Ta żakinada nie miała po prostu finału. Sama też nie była finałem roku szkolnego. Po pierwsze termin nie był wybrany najlepiej. Trwały w szkołach matury, wielu uczniów poprawiało oceny z różnych przedmiotów. Odbywały się ostatnie klasówki, słowem w szkołach ważyły się losy znacznej części młodzieży, zapadały werdykty o promocji albo — „oblaniu". Komu w takiej chwili zabawa w głowie? Tym kilkunastu uczniom w każdej klasie, którzy promocje mieli z góry w kieszeni? Szkoły podminowane, pełne niepokoju, a tu ktoś proponuje rozkosznie — wiecie co, posłuchajmy sobie szkolnych chórów.

Ba, gdyby tylko termin zaważył na przebiegu żakinady... Jak się rzekło, pochody przebierańców nie przypadły do gustu licznej grupie pedagogów. I oto pomysł „upupienia" *) przygotowanej uprzednio bardzo starannie koncepcji żakinad. Nie będzie to już publiczny przegląd zespołów artystycznych na otwartych scenach i estradach miasta, nie będzie to już pochód młodzieży, postaci z historycznych książek, rakiet i latających Pierwszy rok w zasłużone wakacje. Dlatego też należy chyba zmienić termin żakinad, połączyć imprezę z zakończeniem roku szkolnego, który dla większości młodzieży szkolnej jest świętem radosnym. Nie należy chyba pozbawiać żakinady jej atrakcyjności i barwy poprzez eliminowanie kostiumów, fantazyjnych i wesołych rekwizytów. Należy chyba pochwalić się przed całym miastem sporą grupą maturzystów, którą w pochodzie żakinadowym można jakoś specjalnie eksponować. Nie należy też pozbawiać szkół możliwości współzawodnictwa w szeroko pomyślanym publicznym pokazie zespołów szkolnych, przygotowania rekwizytów pochodu i całej związanej z tym pracy organizacyjnej grup działania ZMS i drużyn ZHP. Po prostu po dwóch, czy trzech nieudanych imprezach (choć w Łodzi żakinada 1960 była udana) nie wolno wycofywać się w popłochu z opracowanych i przyjętych przez młodzież koncepcji, jednym słowem nie wolno „upupiać"!

Tekst i zdjęcia
**WIESŁAW MACHEJKO**

**P. S.:** Wtajemniczeni powiadają, że słowo „upupiać" wzięło się z następującego zdarzenia: na pewnej żakinadzie (ale nie w Łodzi) córka znanego miejskiego notabla umieściła z tyłu swego kostiumu nieco niżej pleców znak objaśniający z napisem „pupa". Ojczulek dotknięty tym do żywego zrobił wszystko, by więcej nie było przebierańców. Żakinadę „upupiono". Wylano dziecko z kąpielą.

# O wylewaniu dziecka z kąpielą

noszenia poziomu umysłowego. Nie bez znaczenia jest wpływ, jaki wywiera na żołnierzach wracających po odbyciu służby wojskowej do cywila, wychowanie polityczne i obyczajowe wyniesione z wojska. mówił o tym na konferencji Wiesław Jażdżyński). Obok tych pozornie bezkonfliktowych tematów, ileż arcyludzkich konfliktów, jak w każdej większej społeczności! Zarząd Polityczny Wojska Polskiego chce umożliwić pisarzom interesującym się problematyką wojskową nawiązanie kontaktu z armią przez udostępnienie materiałów historycznych, dokumentacji (szczegółowy opis bitew na szlaku bojowym od Lenino do Berlina), przez konsultacje, subsydia i pobyt pisarzy w terenie, tzn. w jednostkach wojskowych w okresie ćwiczeń letnich. Parafrazując modny termin „wczasów pod gruszą" byłyby to takie literackie „wczasy pod lufą", umożliwiające zainteresowanym pisarzom zapoznanie się z życiem żołnierzy na obozach, poligonach itd.

To cenne zaproszenie jest niezmiernie pociągające i efektowne. Mniej nie należy przymykać oczu na trudności, jakie się piętrzą przed pisarzem, który będzie chciał sprostać zadaniu i przekazać swe doświadczenia w formie literackiej. A więc, parę słów tylko o trudnościach natury subiektywnej czyli — od strony pisarzy. Każdy utwór literacki jest nie tylko sumą obserwacji, przemyśleń i przeżyć osobistych. Dobry utwór jest właściwie rodzajem autobiografii pisarza, nawet jeżeli ta „autobiografia" ukrywa się pod formą opisu pozornie obiektywnego. Nie dla efektu ani dla paradoksu sformułował Flaubert pamiętną uwagę o swej powieści: „Pani Bovary" to ja". Jeżeli więc parumiesięczny kontakt z wojskiem nie dostarczy pisarzowi inspiracji, jeżeli siła zaangażowania ideologicznego nie zmieni się mocą skomplikowanych reakcji psychologicznych, właściwych procesowi twórczemu, o przeżycie („autobiografię"), otrzymamy zamiast utworu literackiego — niewypał.

Zwolennicy „natchnienia kierowanego" argumentują w następujący sposób: „Z roku na rok postępuje hermetyzacja (czytaj: smażenie się we własnym sosie) literatów. A przecież, trudno pisać wciąż i tylko o literaturze (jak to się dzieje, np. w dzisiejszej modnej antypowieści, której tematem jest właśnie zagadnienie samej powieści tzn., jej możliwości, zasięgu, sensu itp.). Dzieło literackie powstaje nie tylko z kontrowersji intelektualnych oraz wątpliwości i roztrząsań natury filozoficznej. Wielu pisarzy, i to nie najgorszych, szuka pomysłów i czerpie tematy z bezpośredniego kontaktu z życiem. A bogactwo tematów z zakresu wojskowości jest nieprzebrane!

Do rzędu trudności i oporów przeciwko podejmowaniu tematyki wojskowej zaliczyć należy również swoistą atmosferę „filozoficzną", panującą u nas w pewnych kręgach intelektualistów. Nie przeceniając tej atmosfery, rodzącej się często na gruncie kawiarniano-snobistycznym trzeba powiedzieć, że „filozofia" bezsensu działania nie sprzyja powstawaniu utworów, w których dałby się wyrazić sens wojska, to jest zdolność do zorganizowanego, zdyscyplinowanego i celowego działania.

Sądzę jednak, że poczucie odpowiedzialności i zrozumienie głównego obowiązku twórcy, obowiązku formowania wyobraźni narodowej, przełamie wszelkie przeszkody i z dobrze zorganizowanego kontaktu armii i pisarzy powstaną dalsze utwory będące nie tylko artystycznym obrazem życia i problemów wojskowych, lecz jednocześnie poważnym wkładem do literatury polskiej.

**WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ**

ROMAN ŁOBODA

# Od prozy do baroku

Dwa tomiki z „Biblioteki Poetów" WL 1961 r. Konrada Frejdlicha: „alert" i Anny Pogonowskiej: „Młodość okupacyjna", od razu po przeczytaniu nasuwają refleksje wybiegające nieco poza normalne recenzenckie omówienia.

Jaka jest tego przyczyna? Otóż każda z tych książek jak gdyby zarysowuje krąg, za którym już nie ma poezji; jest albo poetyckie zagęszczenie, graniczące z barokiem, albo rozrzedzenie bliskie prozie. Zacznijmy więc od Anny Pogonowskiej, autorki szeregu tomików, ona to bowiem przekroczyła ten krąg ku prozie swoim poematem „Młodość okupacyjna". Nie dobrze się stało, że znana poetka skusiła się na opublikowanie poematu, który w zasadzie jest obcy jej poetyce i poglądom na poezję. Niedobrze się stało, gdyż czytelnik, nie znający jej późniejszych utworów, („Młodość okupacyjna" została napisana w 1953 roku) mógłby sobie po przeczytaniu poematu wyrobić błędne pojęcie o poetce.

Niewątpliwie są w tym poemacie treści drogie poetce — i nie tylko jej.

I tu dopiero zaczyna się nieporozumienie: XIX-wieczny w formie poemat ma unieść współczesną i dramatyczną treść. Stylizacje postromantyczne i mickiewiczowskie inwokacje nie ratują poematu który, opatrzony regularnym rymem, rytmem i miarowością, w najobszerniejszych swoich partiach ciąży wyraźnie ku prozie. Ba, jest nią w istocie. Nie pomagają zmiany w składni ani archaizmy. Opis i fabuła bez podtekstu dominują. Pogonowska stara się upoetyzować prozę i udramatyzować ją. W tym celu skraca frazę, nadaje jej nerwowość i rzeczywiście zyskuje na dramatyczności rwąc płynny i regularny tok wiersza. Gdy pisze:

**„Nie umiałam aktorką być. Jak ten co chóry**
**Prowadzi, zgadywałam często przyszłość z góry"...**

To dwuwiersz ten przeczy następnemu:

**„Gest każdy obliczałam z ścisłością logiki."**

Te usiłowania wprowadzenia ładunku poezji rozpływają się wśród takich zdań:

**„Siedzieliśmy na niskiej polanie. Wysoko**
**Szedł nasyp ścieżki. W butach miałam mokro.**
**Mżyło. Raz po raz chłopak papierosa zaćmił,**
**Powstawały dziewczęta. Zimno.**
**Rój postaci**
**Wynurzył się za nami. Biegli po nasypie..."**

Otóż krąg został przekroczony: gdyby nie rymy — „wysoko, mokro, zaćmił, postaci", to nikt nie miałby wątpliwości, że jest to nerwowa, opisowa proza.

W ten sposób, mimo woli, wyłania się pytanie: Co właściwie jest poezją, jeżeli wiersz nią nie musi być? Czy rym i rytm (miarowość) już ją czynią?

Pogonowska prawdopodobnie mając silny, uczuciowy stosunek do treści, które chciała wyrazić, nie zadała sobie tego pytania. Ten typ poematu epickiego okazał się formą, która nie jest zdolna unieść współczesnych treści. Tak mi się wydaje. Tradycja zasila współczesność, lecz nie w sposób bezpośredni. Trzeba było wiele mistrzostwa, żeby opowieść o Litwie stała się poezją. Dziś nawet mistrzostwo nie jest zdolne udźwignąć epiki pojętej dziewiętnastowiecznie. Epikę z poezji wyparła współczesna proza która może znacznie swobodniej mówić o tak zwanych codziennych i niezłożonych realiach.

Krąg został przekroczony. Poetka podjęła próbę zbyt ryzykowną, (pamiętajmy, w 1953 roku), próbę, której wydaje mi się, już nikt nie uwieńczy sukcesem.

Konrad Frejdlich w „alercie" także pisze regularną strofą:

**„przykładałaś miasto**
**jak muszlę do ucha**
**szumiała w ulicach**
**pamięć półkolista**

**a mam swoje plaże**
**na opadłych dachach**
**leżą na dnie nieba**
**twoje słone włosy..."**
**(dziewczynie)**

I tu Frejdlich nie ucieka poza krąg poezji. Jest w niej. (Pogonowska ma wiele wierszy, które tkwią w sercu poezji.)

Wprawdzie nie ma w tym wierszu rymów, ale mogłyby być i niczego to by mu nie ujęło (ani, sądzę, nie przydało). Jest rytm; i chociaż umuzycznia wiersz, to mogłoby go też nie być, bowiem samo stwierdzenie, że: „przykładałaś miasto jak muszlę do ucha" już jest poezją i nie wymaga dalszych zabiegów formalnych.

Frejdlich patrzy oczami poety i jeżeli opowiada to, co widzi — mówi językiem poety.

Gorzej jest gdy zaczyna konstruować wielkie tezy. Wiersze oceniające czasy, historię, a nawet ją osądzające. Wówczas mówi:

**„monarchowie mają puste oczodoły**
**bomby w lejach potrzaskały ich źrenice**
**czasem mrukną w koleinach za czołgami**
**bo korony zaciskają się na kriani"**

I wówczas to brzmi nieszczerze. Odnosi się wrażenie, że to nie doświadczenie mówi przez poetę, ani nawet kompilacja doświadczeń, ani nawet wyobrażenie doświadczenia, ale obiegowa wiedza o doświadczeniu pokutująca w umysłach i książkach.

Frejdlich niewiele ma wątpliwości. Wie nieomal wszystko. Jest w tym naiwny i nie sili się na pytania. Wątpliwości rozstrzyga obrazami, którym wagę nadają pojęcia niewątpliwe. Rwie mu się ciąg logiczny, który zastępuje pełną i ładnie brzmiącą frazą oraz niekiedy wyczuciem pointy. Tytułowy wiersz, o posmaku katastroficznym, jest pełen tych wielkich stwierdzeń i wiadomości dobrego i złego nawet na przyszłość, która dla Frejdlicha jest absolutnie prosta. Ładnie i egzotycznie (tak, egzotycznie!) brzmiące słowo w poezji: „europa" wykorzystuje poeta nie tyle jako znaczenie czy symbol, ile jako ozdobnik. Ma słuch.

Myślę, że nie należy wiązać Frejdlicha z jakimś innym, starszym poetą i do tego warszawskim; a teraz jest takie modne to wyszukiwanie wpływów i zależności. Wydaje mi się, że melodia wiersza oparta na regularnej wersyfikacji jest i przez poetów łódzkich uprawiana.

A teraz umiłowanie baroku, skłonność do zdobnictwa, żeby było tak ładnie i dużo:

**„tynk się marszczy inskryptem propter charitatem**
**prostują grzbiet zbolałe podcienia wieczorem**
**dachy rynku są hermą w wielkim oknie świata**
**przez nie wisła tylko i kości zwietrzałe"**

widać zaraz do czego prowadzi barok. Tak dużo tego, że gdzieś zgubiło się świeże spojrzenie na świat, że to spojrzenie zostało zastąpione nabytą wiedzą o świecie. Wiedzą, która przetrawiona i podana światu przestaje być wiedzą poety.

Wiedza jest dla poety materią do przetwarzania, do wyciągania — wprawdzie intuicyjnych i opartych na logicznych związkach — wniosków pierwszych. Ambitne inklinacje Frejdlicha mogą go do tego doprowadzić, pod warunkiem, że uwierzy w wiedzę ludzkości, którą w końcu trzeba odrzucić, zastępując ją własną wiedzą i własnym widzeniem.

Barok przez nagromadzenie realiów, obrazów i pojęć, traci ostrość i jest w końcu opisem. Poezja nie jest opisem! I w tych właśnie, nielicznych wprawdzie, miejscach w „alercie" krąg zostaje przekroczony.

JAN BĄBIŃSKI

# CZARNE ZŁOTO BORUTY

Płaska równina, biegnąca w dal cienkimi sznurami zagonów. Pola co prawda zielone, lecz zieleń to blada, nadgryziona żółtymi cętkami piachu, jak tkanina przez mole. Wydmy, podłużnymi garbami wkradają się w sam środek ozimin. Lotne piaski. Bełchatów z nich słynie, to one podpełzły już pod samo miasteczko, biorąc je z dwóch stron niczym w ruchome kleszcze. Wszystko na co tu spojrzeć, podpada pod pojęcie Polski „B" w jej najczystszym, fatalnym wcieleniu. Biedna to ziemia, nędzne chałupy słomiano-drewniane, kraina smutnych wierzb i kartofli. Także sosenek o wątłych konarach i rzadkim listowiu.

Wreszcie pierwsze chałupki. Kleszczów, wieś parafialna, ongi gminna dziś „geodezyjna". To tutaj odgrodzeni od świata borem i piachem rozbili namioty geolodzy. Maleńka izdebka, stół z nie heblowanych desek, połamane krzesła i mnóstwo map na ścianach. Taka prowizorka jak w sztabie dywizji na froncie. Geolodzy są młodzi, skąpi w słowach, a jeśli już z siebie coś wyduszą, to trudno pojąć laikowi w czym rzecz. Z posterunków schodzą się tu wieczorem, czynią pospiesznie jakieś poprawki na mapach. Na ostatek zasiadają do brydża, ich szef natomiast, też młodziutki, łapie za słuchawkę. Dzwoni do centrali, do Wrocławia...

— Halo, halo tu Kleszczów... Sprofilowaliśmy 2900 metrów w tym samego węgla 429 metrów i 60 centymetrów, halo...

Meldunek jest zwięzły niby z placu boju. Małe wyjaśnienie, „sprofilować" to znaczy przewiercić i zbadać każdą warstwę ziemi z osobna. Pora uchylić przyłbicy, będzie o wierceniach, tych poszukiwawczych, na początku związanych zawsze z wielką przygodą i ryzykiem. Czasami mnogość hipotez i niewiadomych przybiera kształt rewelacji. Tak się stało w Kleszczowie. To już nie błądzenie na ślepo, a pewnik. Odkrycie przyszło niemal równocześnie w kilku punktach. Przebogate złoża węgla brunatnego. Jednym końcem dotykają one Gorzkowic pod Piotrkowem, drugim Rząśnię pod Pajęcznem. Długość pokładu 35 kilometrów, jego środek to Kleszczów.

Jaka jest specyfika pokładu?

Geolodzy wyważają każde zdanie, wolą powiedzieć mniej, niż za dużo:

— Przede wszystkim złoże charakteryzuje się dużą miąższością przekraczającą 100 metrów. Wstępne badania wypadły niezwykle korzystnie. Pokłady są najbogatsze w kraju, być może w Europie. Biegną jednak wąskim korytem jakby rynną. Dlatego też będzie pewien kłopot przy eksploatacji. Nasilenie robót już obecnie jest bardzo duże. Pracuje 26 szybów, dalsze są w montażu. Czas nagli, idzie o to by złoże jak najszybciej okonturować i oddać w ręce budowniczych kopalni...

W Łękińsku, Woli, Sulmierzycach wszędzie jak okiem sięgnąć, wpięto w ziemię długie szpile zębatych świdrów. Krajobraz przypomina okolice Krosna, Jasła. W Kucowie tych szybów jest kilka, jeden z nich przed chwilą zamarł w bezruchu. Robotnicy zbili się w gromadkę a brygadzista tłumaczy:

— To u nas chleb codzienny, na dole jest przychwycony przewód. Trzeba go teraz metr po metrze wyciągać, niech to diabli, trzeba wytaszczyć z ziemi 238 metrów rury i usunąć uszkodzenie. To samo zdarzyło się w Koninie, Turoszowie, rok temu koło Myszkowa, a teraz tutaj...

Ekipy wiertnicze jak Cyganie, dziś tu jutro tam. Szyby pracują bez przerwy, czas nie spoczywa tu nawet w nocy, dlatego każda awaria doprowadza tych ludzi do pasji. Ale uporem i pomyślunkiem można stawić czoło każdej przeszkodzie. Po godzinie motor rusza ponownie. Każdy „odwiert" jak człowiek, ma własną metrykę. Nie spisuje się jej na papierze, a w wąskich jak futerał skrzynkach. Każdą warstwę marglów, iłów, glin spotykana przez „zębatkę" na drodze do węgla, składa się do skrzyń, piętrzących się wysoko w drewnianej budzie przy szybie. Na samym wierzchu spoczywa urobek ostatnich dni. Ziemisto-brunatna masa, spękana, pomarszczona jak kora wiekowego drzewa. To właśnie węgiel brunatny, ponoć w lepszym gatunku niż koniński i turoszowski.

Motory pracują, „zębatka" wgryza się wciąż głębiej, trzeba jeszcze ustalić, gdzie kończy się złoże i zaczyna pokład. Jeśli rura uderzy o skałę, wówczas zejdzie przez dobę tylko o 20 centymetrów. Robota uciążliwa, odpowiedzialna, trzeba ją wykonać szybko, bo od jej wyników zależy los kilkunastu gromad. Chłopi często przychodzą popatrzeć jak robota idzie, medytują no i czekają co z tego wyniknie... Ich punkt widzenia tak ujął prezes gromadzkiej rady w Kleszczowie:

— O ile chodzi o nasze wsie, to ludzie są zadowoleni, ale też zaniepokojeni. Dręczy ich obawa. Bo nie wiadomo co przyniesie jutro? Nie ma jeszcze nic konkretnego, same domniemania. Ale wszyscy wiedzą, że nadchodzą wielkie zmiany.

Przeczucie nieuchronności tych zmian jest powszechne. Komu wypadnie opuścić zagrodę, mnie czy sąsiadowi? Oto jest pytanie, to ono krąży po wsiach. Wszystko jest wszak płynne, nie okrzepło w ostatecznym kształcie. Kopalnia stanie, ale gdzie? W Łękińsku, Woli czy może nieco dalej na północ? Ta niepewność jest męcząca, obawa splata się z nadzieją.

Wioska nazywa się Piaski, nomen omen, piachy tu pylkie o kolorze popiołu, gdy je wziąć w garść lecą przez palce. Wiatr dosłownie dmucha tu ludziom piachem w oczy. Kiedy zerwie się wicher, pędzi piaszczystą mączkę wprost do izb przez szczeliny w oknach. W tych Piaskach ulokowano bazę sprzętu wiertniczego, tędy suną traktory z przyczepami, ciężarówki. A we wsi jak to we wsi, kto może stara się uczepić jakiejś roboty przy górnikach. Niech to będzie cokolwiek, jak już doić to lepiej ziemię z jej bogactw niż te scherlałe krówska o wyschniętych wymionach.

Przy drodze stoi młodzik z rękami w kieszeniach, obok niego starszy już gospodarz. Ten starszy aż promienieje zadowoleniem:

— Dostałem pracę przy transporcie. Wziąłem już 500 złotych zaliczki, robota, aż palce lizać...

Młodzian się śmieje, wrócił niedawno z wojska, trochę odpocznie i też gdzieś się uwiesi. Któż by pomyślał, że pracę znajdzie się w samych Piaskach? Za rok, może dwa, gdzieś tu w pobliżu, zjawią się na widnokręgu ogromne koparki. Widziano je na kronice filmowej z Turoszowa. To one drążąc ziemię w dół, do węgla, utorują ludziom drogę. Założą na węglu kamień węgielny pod pomyślniejsze jutro nie tylko Piasków ale i całego wieńca okolicznych wioszczyn. Powiada się, że chłop-robotnik zniósł warstwę wiejskiej biedoty. W Piaskach jeszcze nie zniósł, chłop-robotnik dopiero się tu rodzi.

Tym razem postój w miasteczku powiatowym, w Bełchatowie. Przewodniczący Powiatowej Komisji Planowania Gospodarczego też jest ostrożny w wypowiedzi:

— Właściwie szukano nafty, a znaleziono węgiel. Oczywiście my wszyscy bardzo się z tego odkrycia cieszymy. W perspektywie rysuje się możliwość budowy 30-tysięcznego osiedla robotniczego. Jesteśmy przekonani, że osiedle będzie przedłużeniem dzisiejszego Bełchatowa. Proszę pana, planuje się budowę 2 wielkich elektrowni, będą one zasilane węglem brunatnym.

Dwie elektrownie, każda z nich wielkości turoszowskiej, — oto jutro Bełchatowa. Pokłady węgla są tak bezcenne, że dla ich najlepszego wykorzystania został już rozpisany konkurs między specjalistów Polski, Czechosłowacji i NRD. Za ileś tam lat wyskoczy na bełchatowskich piaskach jeden z największych ośrodków energetyczno-węglowych w kraju. Jeszcze krótka uwaga zastępcy przewodniczącego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Bełchatowie:

— Elektrownie i kopalnia węgla zatrudnią łącznie ponad 10 tysięcy osób.

Ta informacja mówi za siebie, 10 tysięcy robotników mimo tego, że prace zarówno w kopalni jak i elektrowniach mają być zmechanizowane. Bełchatów to rewelacja, owszem, ale nie jedyna. Ziemia łódzka i gdzie indziej, odsłoniła skarby swego wnętrza. Las szybów wiertniczych wyrósł także niepostrzeżenie w Giecznie i Rogóźnie pod Zgierzem. Również tutaj odkryto rozległe pokłady węgla brunatnego. Przy sposobności, jakby mimochodem natrafiono na ciepłe źródła. Skład wód mineralnych jest tu bardzo podobny do tych z Ciechocinka. Przeszeptuje się, że odkryciem zainteresowało się Ministerstwo Zdrowia i że w niedalekiej przyszłości łódzki włókniarz będzie miał Ciechocinek za rogatkami swego miasta.

Ziemia Łódzka, ziemia tkaczy i prządek nieoczekiwanie przeobraża się w najmłodszy w kraju rejon górnictwa. Przecież to w tym roku uruchomiono koło łęczyckiego zamku drugą w tym okręgu kopalnię rudy żelaza. Budowa dalszych nastąpi. Niedługo kopalnia, tym razem węgla brunatnego, zacznie pracować pod Bełchatowem, ten rejon zyskał preferencje, przerzuca się tam wciąż nowe urządzenia wiertnicze, importowane również. A potem przyjdzie kolej na Gieczno, Rogóźno...

Najwidoczniej diabeł Boruta ukrył swe skarby nie tylko pod łęczyckim zamkiem. To był przebiegły diabeł, kuty na wszystkie cztery kopyta.

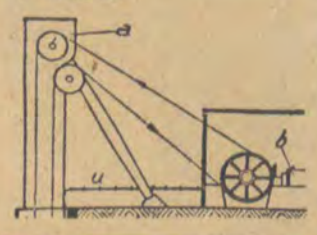

BERNARD SZTAJNERT

## listy z niedalekich podróży

### Moi drodzy

*To, co teraz czytacie, to są słowa — rodzimy się, żyjemy i umieramy wśród słów. Są słowa starsze od nas, są takie, które rodzą się za naszego życia, po to by długo istnieć, są takie, które za naszego życia umierają... Tylko słowa, tylko zespoły słów można czytać. Ludzie, którzy czytają niesłowa, którzy czytają bukiety kwiatów lub pomarszczone twarze, są poetami. Każdy poeta jest panem wielu niemożliwości — wśród nich także niemożliwości czytania niesłów. Ale słowo urodzić się może także w ustach człowieka nie będącego poetą.*

*Byłem niedawno przy narodzinach pewnego słowa i wyznam wam, że pragnę jego szybkiej śmierci. Słowo to powstało w drodze, którą przebywałem idąc wzdłuż wilgotnej bocznicy kolejowej od stacji Krośniewice Kutnowskie przez Ostrowy do mieszczącej się tam cukrowni. Myślałem o temacie odczytu: „Jak powstaje książka", „Narodziny książki", a właśnie obok powstało, narodziło się, słowo — „Wzięli ich stamtąd — mówiono o starych ludziach, pokazując palcami rosnący gmach cukrowni — „wzięli ich na emeryt, bo tak trzeba i wtedy paru umarło. Żyliby pewno jeszcze, gdyby nie wzięli ich wnameryt, ale było trzeba".*

*Zrozumiałem i powitałem nowe słowo „Nameryt". — Nameryt — mówiono — przyspiesza śmierć starych ludzi, tak z tym chodzą i chodzą, nie mogą znaleźć miejsca i tumanieją i umierają.*

*Na odczyt przyszło 400 słuchaczów, na sali stało kilkadziesiąt dziecięcych wózków. Przy wózkach matki, dalej pomarszczeni starcy, ci z „namerytu".*

*Powiedziałem ostatnie słowo odczytu — dostałem kwiaty, wracałem z bukietem w ręku wzdłuż bocznicy do stacji. Za plecami miałem cukrownię. — Ładnie było, bardzo ładnie — mówił sekretarz prezydium. — To pierwsze u nas spotkanie.*

*W sadzawkach kumkały żaby. Zapytałem sekretarza, czy można by tutaj pomieszkać. — Pomieszkać? Pan?... Może w hotelu robotniczym, przy cukrowni, bo tak letnisk tu nigdy nie było.*

*Pożegnałem go i odchodziłem sam, z bukietem w ręku, z dźwiękiem słów w uszach, ci którzy szli w „nameryt", odchodzili także z kwiatami w ręku, pożegnani dawno narodzonymi słowami, które nie wystarczają, słowami wśród których rodzimy się — żyjemy i umieramy.*

## informacje i zaczepki

W Teatrze Ziemi Łódzkiej odbyła się dnia 16 czerwca uroczystość jubileuszu 50-lecia pracy artystycznej aktorki tej sceny, p. Leokadii Jurkowskiej-Uchańskiej. Jubilatka wystąpiła w roli Zofiańskiej w sztuce Tadeusza Różewicza pt. „Kocha, lubi, szanuje".

●

Przed zmrokiem Łódzkiej Telewizji jakiś pomysłowy, o strukturze psychicznej Hitchcocka facet — zaprojektował monumentalną kościotrupią łapę. Rzeczona łapa nie ręczni jednakże dostatecznie silnego wrażenia — na oszołmkach bardziej nerwowych. Proponujemy zatem aby straszliwa łapa, się ruszała, co na pewno lepiej zdęty widzu najbardziej odważnych. A w ogóle nie wiemy, na co to monstrum dekoruje ulicę.

●

Już czwarta Łódzka Wiosna Poetów odbyła się w naszym mieście starankiem grupy literackiej „Prowincja 58". Wśród nagrodzonych spotykamy nazwiska aż sześciu łódzkich debiutantów: J. Dębowy, J. M. Janiaka, K. Jożwiaka, M. K. Kozłowską, H. Krystka oraz K. Maciejewskiego. Poza tym miłym donosić, że laureat I nagrody, Mieczysław Stanetik, z Bielska publikował w swoim czasie w „Odgłosach" i była to bodaj pierwsza publikacja jego młodego talentu.

●

W salonie wystawowym Biura Wystaw Artystycznych (Piotrkowska 107) odbywa się bardzo ciekawa wystawa fotografiki Jerzego Neugebauera. Przez Neugebauera czytelnicy „Odgłosów" mieli niejednokrotnie okazję oglądać na naszych stronach.

Swego czasu Zakład Domu Kultury zapowiedział organizować coś w rodzaju „szkoły narzeczonych". Niestety, da, potrzebna przecież i pożyteczna placówka nie zyskała popularności wśród kandydatów do stanu małżeńskiego.

Obecnie podobna „uczelnia" organizuje Wydział Zdrowia DRN Śródmieście. Aby uniknąć nieporozumień zapewniono sobie współpracę Lizi Kuhnel. Wiadomo: gdzie diabeł nie może...

●

Jury Konkursu „Zaiksu" na utwór literacki małych form przyznało ostatnio w klasie wiersza katowickiemu II nagrodę (pierwszej nie przyznano) Bogusławowi Markowi z Łodzi (znana na „wędce autorska" z „Karuzeli"). Kuszarń Marek otrzymał ponadto dwa wyróżnienia po 2 tys. zł. Na tym samym konkursie ZAIKS-u II nagrodę w klasie piosenki otrzymał współpracownik „Karuzeli" Włodzimierz Krzemiński. Wyróżnieni zostali również współpracownicy „Karuzeli": Andrzej Dołęgowski, Włodzimierz Sześlowski. W klasie skeczu II nagrodę otrzymał inny współpracownik „Karuzeli" Włodzimierz Borowski. Brawo „Karuzeli"!!!

●

W „Ubiczu" niedziele wszyscy chyba byliśmy zagubywani przez młodych ludzi z czerwonymi muszkami na dłoniach. Warto więc dowiedzieć się, że nasze 20- 30-groszowe datki urosły do sumy ponad 58 tysięcy złotych. Tyle bowiem zebrano w czasie niedzielnej kwesty na Fundusz Towarzystwa Przyjaciół Dzieci.

●

I znów dowiadujemy się, że w ogólnopolskiej akcji „Mrówka 82" młodzież łódzka zbierze 200 ton makulatury. Zatem znów wśród zwrotów autentycznej makulatury znajdą się... autentyczne książki. I znów, jak co roku, bibliofile i cwaniacy wzdrat będą po składnicach, aby ocalić dla siebie lub na sprzedaż wartościowe książki i rocznikami pisma wyrzucone przez nieświadomych właścicieli. Warto wreszcie podjąć jakąś zorganizowaną akcję, która uratuje od przemiału cenne bibliofilskie wydania.

●

Jeden z ostatnich numerów „Życia Literackiego" przynosi wyniki olimpiady literackiej zorganizowanej przez to pismo wspólnie z Ministerstwem Oświaty. Trzecią nagrodę za prace pt. „Chwila obecna" (o Tadeuszu Borowskim) otrzymała łódzianka p. Ludwika Krawczyk. Warto nadmienić, że p. Ludwika publikowała w swoim czasie w „Odgłosach".

●

W rozstrzygniętym ostatnio konkursie literackim na sztukę lalkową (organizator — Wydział Kultury WRN w Łodzi) obok autorów z innych miast znalazła się na liście nagrodzonych dwójka łódzkich pisarzy. Zofia Lefenoch odebrała drugą nagrodę (II nie przyznano) a Ludwik Sławawski wyróżnienie.

●

Znany nie tylko w Łodzi Teatr Poezji Technikum Chemicznego wymieniał niedawno w Warszawie na zaproszenie Ministerstwa Kultury i Sztuki. Łódzcy recytatorzy zaprezentowali dwa montaże poetyckie: „Pieśni Czarnego Lądu" i „Księżyc nad Baryłenjem", a zatem poezję afrykańską i kubańską.

●

Łódzkie pralnie są w stanie upaść dziennie zaledwie 1,000 sztuk męskich koszul (niewiadomo z jakich wątków), kilkanaście obrusów w jakim stosunku powstrzymuje się wizyta do domów mieszkańców naszego miasta. Na szczęście prasa donosiła, że w przyszłym roku Łódź otrzyma 10 nowych i nowoczesnych „zakładów pralniczych". Obrus nie skończyło się na obietnicach.

Ł. W.

— 57 —

## A WHALE AND A SAILOR

Once upon a time there was a Whale in the sea. He ate fish. All the fish he ate at once.

At last there was only one small fish in all the sea. The Whale was angry and hungry. He stood up on his tail and cried:

— I am hungry!

The small Fish said in a small voice:

— Do you want to eat a man?

The Whale asked:

— What does it look like. Catch me some!

The small Fish answered:

— One is enough. Swim to the middle of the sea and you will find him. He is sitting on a raft. He is a Sailor.

So the Whale swam and swam and found the Sailor. The Whale opened his mouth wide and wide and wide, and swallowed the Sailor, and the raft.

— 60 —

## AT THE STATION

— A ticket to New York, please.

— One way or return?

— Is there a saving in price if one buys the return ticket?

— Yes, you save about sixty cents. A one way ticket is four dollars. A return ticket is seven dollars and thirty cents.

— How long is the return ticket good for?

— It is good for sixty days.

— And what happens if I am unable to use the ticket within sixty days?

— You can return the ticket to this office and we will give you your money back.

— What time does the next train for New York leave?

— At nine o'clock.

— Is there à dinig car on the train?

— All the trains have dining cars.

— What time do we arrive in New York?

— At two o'clock.

— Is it a through train?

— Of course.

— May I have a time-table, please?

— Certainly.

— 57 —

## WARUM SCHREIT SIE?

Ich ging mit meinem 8-jährigen Sohn in die Oper. Die Sängerin sang schöne Arien. Der Kapellmeister dirigierte energisch. Mein Sohn fragte:

— Vati, warum schlägt dieser Mann die Frau dort.

Ich antwortete leise:

— Er schlägt sie nicht. Er dirigiert.

— So? Und warum schreit sie?

— 60 —

## SPRICHWÖRTER

Aller Anfang ist schwer.

* * *

Keine Antwort ist auch eine Antwort.

* * *

Der gerade Weg ist der kürzeste Weg.

* * *

Morgenstunde hat Gold im Munde.

* * *

Wie die Saat, so die Ernte.

* * *

Ende gut, alles gut.

* * *

Wer zuletzt lacht, lacht am besten.

* * *

Es ist nicht alles Gold, was glänzt.

* * *

Man soll den Tag nicht vor dem Abend loben.

* * *

Es ist kein Meister vom Himmel gefallen.

* * *

Übung macht den Meister.

TADEUSZ PAPIER

# Magdalena o rannej godzinie

Magda i Mariola, bohaterki „Magdaleny" przeżyły najgorsze chwile nie w więzieniu ale po opuszczeniu więzienia. Magda nie wróciła do matki. Zatrzymała się u siostry Marioli, Ireny. Przyjaciółki trafiły właśnie na ślub Ireny. Nie którzy goście weselni, zwłaszcza kolega pana młodego Tosiek, zachowywali się w stosunku do dziewcząt zbyt swobodnie. Magda i Mariola nie doczekały już końca wesela i pojechały na Chojny, do ciotki. Tymczasem Tosiek nie daje spokoju dziewczętom. Zatelefonował do nich i zaproponował spotkanie w Grandce.

Dentysta — czy technik dentystyczny — licho go wie. Śmieszny facet z bródką". Ciotka nie pytała dalej. Dla niej najważniejszą sprawa było to czy nie kontaktujemy się z jakim kumplem z paki Długiego i Boruty. Mówi pan, że ciotka miała rację? No, jeszcze zobaczymy. Na razie przestałyśmy rozmawiać o Tośku, bo ciotka przywiozła prawdziwą bombę. Mówię panu, prędzej końca świata bym się spodziewała. Ciotka usiadła na krześle i powiedziała: „Magda, Geograf cię wzywa". „W pierwszej sekundzie nie zrozumiałam o co chodzi. O sto kilometrów byłam od szkoły. „Jaki Geograf?" — zapytałam. „No ten, co cię uczył. Wzywa cię do siebie". „Co ciocia mówi? Dlaczego?". Ciotka odparła: „Cóż ty myślisz, że będziesz bąki zbijać? Trzeba się uczyć. Byłyśmy z mamą u Geografa po radę. Przyjął nas dobrze, opowiedziałyśmy mu wszystko, kazał ci przyjść". Jezus, Maria! Zbladłam tak, aż się Mariola wystraszyła. „Wszystko mu ciocia powiedziała?" „Wszystko — odparła ciotka. — Cóżbym miała ukrywać!". „Ja tam nie pójdę. Nie chcę widzieć żadnego Geografa!" — zaczęłam krzyczeć.

Ale! Żeby pan wiedział, jak się przy tym zachowała Mariola! Nie dała mi dojść do słowa, wariatka! Wsiadła na mnie jak najgorsza strażniczka. Miałyśmy w pace jedną taką strażniczkę, która wciąż się tylko darła. Czy było dobrze czy źle, krzyczała. Mariola mi ją teraz przypomniała. Zadałam jej pytanie: „A co z tobą?" A ona odpowiedziała: „Nic ci do tego". Widział pan podobną kretynkę? Mnie daje rady, a sama jest w nie lepszej sytuacji. Myślałby kto, że już zyskała patent na cnotę. Nie mogłam jej rozgryźć. Ciotce się strasznie spodobała. „Nie wiedziałam, Mariola, że jesteś tak rozsądna" — powiedziała ciotka. „Żałuję, że tak późno nabyła tego rozsądku" — odparłam. Nie, proszę pana, byłam zła z innego powodu. To nie z przyczyny Marioli. Ale niech pan sobie wyobrazi: kierować mnie do Geografa! Nie można było wymyśleć nic gorszego. Geograf mnie kiedyś lubił, nie stawiał mi złych stopni, a największy zarzut, jaki usłyszałam od niego, i to właśnie jeden jedyny raz, to były słowa: „O, z Magdalenki zrobił się leniuszek!" Ale potem się poprawiłam i nie popadałam z nim w żadne zatargi. Zresztą geografię lubiłam. Boże kochany! Godzinami mogłam słuchać opowieści o nieznanych lądach i krajach. Słowem, miałam u Geografa niezłą markę, mówiłam przecież, że obchodził się ze mną jak z jajkiem, a tu ciotka ślicznie mnie przedstawiła! Ładne zestawienie: Geograf i złodziejka! Nie, za nic w świecie nie pójdę do Geografa, postanowiłam. Nie odezwałam się już do Marioli ani słowem, ale one z ciotką również jakby się zmówiły i nie zwracały na mnie uwagi. Rozmawiały jak gdyby mnie nie było w mieszkaniu, i co najgorsze, rozmawiały o mnie. A Mariola gadała jakby przeszła kurs u zakonnic. Idiotka.

Nazajutrz rano ciotka poszła do roboty. Przed wyjściem przykazała mi, żebym nie zapomniała o Geografie. „Dobrze ciociu" — odpowiedziałam. Mariola otwarła usta ze zdumienia. Ciotka również nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Śmiać mi się chciało, bo obydwie miały miny, jakby co wzięły do geby i nie mogły przełknąć. Ale je urządziłam! W końcu ciotka mnie ucałowała i wyszła zadowolona, a ja zabrałam się zaraz do sprzątania. „Naprawdę pójdziemy?" — zapytała Mariola. „Cóżeś myślała? Widze, że to konieczne" — odparłam. „Ach, Magda, to cudownie". Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak się ucieszyła. Ale ja już miałam swój plan. Postanowiłam, że do żadnego Geografa nie pójdę. Nie mogłam sobie wyobrazić rozmowy z Geografem. Nastawiłam radio, trafiłam na koncert muzyki rozrywkowej. Jakiś mężczyzna śpiewał basem: „Czy choć raz serce twe tak mocno bije, spójrz prosto w oczy" i tak dalej w tym sosie. Melodia była ładna i ten głos mi się podobał, uwielbiam basy, mogłabym słuchać godzinami, kiedy ktoś śpiewa basem, lecz słowa były głupie. „Bo chwila ta jak wiatr ucieka, już jej nigdy nie dogonisz..." Dziękuję, wcale nie myślałam gonić uciekających chwil, ani nikomu patrzeć w oczy: Już się napatrzyłam do syta. Kilka razy dostałam po pysku za to patrzenie. Boruta mógłby coś na ten temat powiedzieć. Widocznie Mariola dostrzegła w moich oczach jakiś niepokojący wyraz, bo zawołała: „Magda, ty coś kręcisz". Roześmiałam się. Ni stąd ni zowąd naszła mnie fala radości: „Ależ kochana, nic nie kręcę. Zobaczysz". I uściskałam ją z całej siły.

Wie pan, głupiemu naprawdę szczęście sprzyja. W tej chwili zadzwonił telefon: Mariola podniosła słuchaw-

Dalszy ciąg na str. 10

But as soon as the Sailor found himself inside the Whale, he began to jump and to dance rock'n roll. The Whale was very angry and said:

— I don't like the Sailor in my inside. What shall I do?

The small Fish answered:

— Tell him to come out.

The Whale said to the Sailor:

— Come out, I don't like you in my inside.

The Sailor answered:

— Take me to my shore, then I shall come out.

The Sailor began to dance again.

So the Whale swam and swam and swam, and at last he saw the Sailor's shore. He opened his mouth wide and wide and wide, and the Sailor walked out of his mouth, and went home.

## EGGS

My friend went to England. He did not know many English words. He was hungry.

— It is time to have lunch. I think I shall go in a restaurant and have a cup of tea and some eggs.

He sat down at a table. The waiter came but my friend did not know the English word for EGGS. He looked through the window and he saw a rooster.

— What do you call this bird in English? — he asked the waiter.

— A rooster, sir.

— And what, do you call a rooster's wife?

— A hen, sir.

— And what do you call a hen's children?

— Chickens, sir.

— And what do you call chickens before they are born?

— Eggs, sir.

— Very well. Now bring me three eggs and a cup of tea, please.



## GOTT WEISS ALLES

Am Rhein singen die Menschen ein Lied:

Wir trinken Wein, viel Wein,
Doch wieviel, weiss vielleicht
Der liebe Gott allein.

Ein Mann sammelte die Volkslieder und wollte sie drucken. Die Zensur erlaubte aber nicht dieses Lied zu drucken.

Der Mann fragte:

— Warum erlauben Sie nicht dieses Volkslied zu publizieren?

— Der Zensor antwortete:

— Mein Herr, im Lied heisst es: „Doch wieviel, weiss vielleicht der liebe Gott". Warum „vielleicht"? Gott weiss alles. Er weiss auch wieviel Wein wir trinken. Er weiss es ganz bestimmt. Auf Wiedersehen!

## VORSCHRIFT IST VORSCHRIFT

Gerhart Hauptmann stieg in eine Strassenbahn ein. Er rauchte eine Zigarre. Der Schaffner sagte laut:

— Sie, rauchen Sie hier nicht! Sie sind in der Strassenbahn und nicht im Kaffeehaus! Hier wird nicht geraucht!

Ein Passagier, der Gerhart Hauptmann kannte, sagte tea, please.

zum Schaffner:

— Wissen Sie, wer dieser Herr ist? Dieser Herr gehört zu den grössten Schriftstellern Deutschlands. Sie sollten etwas höflicher sein.

Der Schaffner antwortete:

— Mein Herr, Herr Goethe darf in der Strassenbahn auch nicht rauchen. Vorschrift ist Vorschrift.

## Dalszy ciąg ze str. 9

kę. „Halo!" — powiedziała. Jakiś czas nie odzywała się wcale. Widocznie ktoś z drugiej strony przedstawiał jej dłuższą sprawę. Potem powiedziała: „To niemożliwe". „Co niemożliwe, Mariola?" — zapytałam. Dała mi znak, żebym umilkła. Potem zasłoniła słuchawkę ręką i powiedziała: „No wiesz, Lodek dzwoni i chce, żebyśmy były dzisiaj w Grandce. Będzie tam również Irena i Tosiek. O włos nie zdradziłam się okrzykiem. — Lodek zadzwonił w samą porę. Właśnie zastanawiałam się, w jaki sposób namówić Mariolę na kawę. Początkowo nie miałam zamiaru spotykać się z Tośkiem, ale ten Geograf wystraszył mnie na amen. Wolałam już Tośka niż Geografa. Udałam, że się waham. „To z pewnością kombinacja Tośka" — powiedziałam. „Lodek, ty coś kręcisz!" — powiedziała Mariola. „No i co?" — zapytała się mnie po chwili. „Możemy spróbować" — odparłam. „Dobrze, przyjdziemy" — krzyknęła Mariola w słuchawkę.

„Jeżeli jednak myślisz, że ci Geografa przepuszczę, to się grubo mylisz" — powiedziała Mariola. „Nie możemy być jednocześnie u Geografa i w Grandce — powiedziałam. „I słusznie" — potwierdziła Mariola. „No więc?" — zapytałam. Zamiast odpowiedzi pchnęła mnie nagle na tapczan. Zaczęłyśmy się przewracać i szamotać, oczywiście z żartów, ale czułam, że Mariola daje mi porządne kuksańce, wcale mnie nie oszczędzała. Odpłacałam jej tym samym. „Jesteś niemożliwa!" krzyczała Mariola. Potem uspokoiłyśmy się. Zajęłam się obiadem, ciotka kazała nam ugotować ziemniaki i odsmażyć jakieś tam mięso. Nagle usłyszałam, że Mariola nakręca telefon, a po chwili jej głos: „Czy to pan profesor? Dzień dobry panu profesorowi. Mówi Mariola, koleżanka Magdy. Tak, właśnie. Nie, jest w domu, ale się krępuje, więc ja dzwonię. Panie profesorze, czy moglibyśmy przełożyć dzisiejszą wizytę na jutro? Tak. Dobrze, o dwunastej. Dziękuję". Myślałam, że ją zatłukę na śmierć. „Mariola! — krzyknęłam. — Ty kretynko! Jakim prawem się wtrącasz!" „Ja już tak od urodzenia lubię opiekować się dziećmi" — odpowiedziała bezczelnie i zapaliła papierosa.

Ale mnie wyrolowała! Ciotka przyszła po pracy, a ta idiotka powiedziała: „Ciociu, rozmawiałam z Geografem. Geograf przełożył nam wizytę na jutro". „Stało się co?" — zapytała ciotka. „Dzisiaj nie ma czasu, ale to lepiej, prawda Mariola?" „Lepiej" — odpowiedziałam ze złością. „Tym bardziej że Irena zaprasza nas do Grandki" — mówiła Mariola. „Przecież miałyście iść z jakimś dentystą?" — zauważyła ciotka. „No tak, oni przyjdą razem" — wyjaśniła Mariola.

Więc zamiast do Geografa pojechałyśmy do Grandki. Wsiadłyśmy w siódemkę i w niecałe pół godziny byłyśmy przy Zielonej. Marioli powrócił dawny humor. Było ciepło, słońce świeciło, na Piotrkowskiej ludzie chodzili stadami. Daleko mi jednak było do pogodnego nastroju. Nie mogłam pokonać rozżalenia do Marioli, chociaż z drugiej strony przyznawałam jej po cichu rację. Ostatecznie nie chciała mi nic zrobić na złość. Nawet mi to przez głowę nie przeszło. Pan już mnie trochę poznał i wie jaka jestem. Bardzo łatwo wybucham gniewem, ale i dosyć szybko się z niego otrząsam. Jeszcze się boczyłam na Mariolę, ale wiedziałam, że za godzinę najpóźniej rachunek się wyrówna. Na Mariole nie można się długo gniewać.

Przed Grandką Mariola znacząco uścisnęła moją rękę. Jakiś łysy pan rozmawiał z dwoma kociakami. Nie, był dość młody, ale łysy. Dziewczyny może były w naszym wieku, a może trochę starsze. Słowo daję, że wyglądały bardzo przyzwoicie. Jednak, mijając je, usłyszałam jak jedna z nich zapytała tego łysego: „Który pokój?" Pomyślałam sobie: ta się obłowi, gość wyglądał na bogatego. Pan by z tego mógł wysnuć nową opowieść? Może nawet wzruszającą? Ta sytuacja zawierała dramat, punkt wyjściowy do powieści albo w ogóle, tak pan powiada? No, wszystko jedno kto to powiedział. Niestety, nie znam tamtych smarkul, nie mogę wskazać adresu. Nic więc ze snucia nowego dramatu. Wystarczy panu mój i Marioli. Zgadzamy się, to dobrze. No więc poszłyśmy do Grandki. Zajęłyśmy stolik w tej drugiej sali. Tak jest, w Tramwaju. Lodek jeszcze nie przyszedł, zamówiłyśmy więc kawę. Rozsiadłam się wygodnie w fotelu. Boże kochany! Pierwszy raz po tylu miesiącach w kawiarni. Pan pyta, czy to było duże przeżycie? Po co pytać. Rozumie się. Ale mimo wszystko czułam się głupio. Pan myśli, że takie jak my, to nie mamy już swojej ambicji? Niech pan nie prostuje. Przepraszam bardzo, a pan by się ze mną ożenił? Nie szkodzi, mogę wyjść za starszego. No więc? Przecież pan zna moje życie. Rozmawiał pan ze mną godzinami. Wmawiał mi pan, że jestem taka sama jak inne. I nie jestem brzydka. Więc? A może odpowiadałaby panu bardziej Mariola? Chce pan? Zorganizuję wam małe spotkanie. Wiec dlaczego mi pan wmawia, że wszystko w porządku. Ja wiem, co sądzić o takich, jak my z Mariolą.

Tosiek i Lodek nie mieli za pochlebnego zdania o nas. Niech pan sobie wyobrazi, przyszli bez Ireny. Czy nie trafnie przewidywałam? Wszystko było ukartowane z góry. Lodek powiedział: „Cześć dziewczęta!" i przedstawił nam tego trzeciego, o którym Tosiek wspominał: „Magda, Mariola, a to Kazek". Kazek okazał się niebrzydkim facetem. Był ciemny na twarzy, lubię opalonych mężczyzn, tylko usta miał tak wykrojone, jakby się stale śmiał. Ten uśmiech był denerwujący. Nie można było patrzeć spokojnie na niego. Kazek miał nieokreślony zawód, słowo daję, do dziś nie wiem, gdzie pracował. Podał adres jakiejś spółdzielczej wytwórni, która wyrabiała przedmioty z tworzyw sztucznych. Podobno interes szedł dobrze, i jak Lodek podkreślił, Kazek był przy forsie. No więc towarzystwo było bardzo wesołe, przypomniały mi się zaraz nasze spotkania w kawiarniach z Narcyzem i Borutą. Tym razem jednak nie chodziło o żadne skoki, to nie my, ale Tosiek i Kazek zrobili wypad, podrywali nas, to było oczywiste. Mariola zapytała: „Lodek, dlaczego Irena nie przyszła?" „Wypadł jej dyżur w szpitalu, musiała zastąpić koleżankę. Czy to zresztą ważne?" „Ważne — odparła Mariola. — Dzwoniłeś, że przyjdziecie razem." I cóż z tego, panno Mariolo — Tosiek przyszedł z pomocą Lodkowi. — Ja prosiłem was wcześniej." „Ale potem się pan porozumiał z Lodkiem i Lodek do nas zadzwonił. Gdyby nie to, to byśmy nie przyszły. Z Ireną to była lipa" — powiedziałam. Ale im zajechałam. Lodek się niby uśmiechał, lecz to był uśmiech bardzo głupi. „Miła Jill!" — rzekł Tosiek i położył swoją dłoń na mojej. Usunęłam rękę i odparłam: „Powiedziałam już panu, że nie jestem żadną Miłą Jill." „Widzę, że trzeba zagaić inaczej" — wtrącił się Kazek. Skoczył do bufetu i przyszedł zaraz z kelnerką. Na stoliku pojawiła się kawa, ciastka i koniak. „Nieporozumienia są już wyjaśnione, co?" — rzekł i podsunął mi kieliszek.

Lodek wypił swój koniak i zaczął nas gorąco przepraszać, Okazało się, że wpadł tylko na chwilę i że umówił się z Ireną. Mariola parsknęła śmiechem. „Idź Lodek, damy sobie radę" — powiedziała. Lodek uścisnął nam ręce, nie bardzo tęgą miał minę, wysunął się z sali jak złodziej. Chciało mi się śmiać z niego. „Ale heca!" — powiedziałam. „Jakież są dalsze propozycje panów?" — zapytała Mariola. „To mi się podoba — odparł Kazek — pani jest rzeczowa. Lubię rzeczowość." „Bardzo ładnie z pana strony, My jesteśmy istotnie bardzo rzeczowe." „Ślicznie" — rzekł Tosiek i pogładził brodkę. Przywołał kelnerkę i zamówił nowe koniaki. Z góry wiedziałam, do czego obydwaj zmierzają. Sączyłam koniak kropelkami, wcale nie miałam zamiaru się upić. Co to, to nie. Kazek zajął się Mariolą, wciąż się do niej uśmiechał. Tosiek magłował moją osobę. „Popatrz na tamtą rudą — powiedziałam w pewnej chwili do Marioli. — Wciąż filuje w naszą stronę." Mariola obejrzała się. „Nie znam jej" — odparła. Tosiek również się obejrzał i skłonił lekko głowę. Zapytałam: „Kto to jest, panie Tośku?" Tosiek odpowiedział: „Jedna taka. Znajoma, a właściwie pacjentka." Ta ruda wciąż filowała na nas, miała przy tym taki wyraz twarzy, że chciałam jej koniecznie dokuczyć. Uśmiechnęłam się więc do Tośka i tamta to widziała. Musiała się skręcać ze złości, widać było, że ją coś z Tośkiem wiązało. „O nas też pan powie, że byłyśmy z panem pacjentkami?" — zapytałam. Tosiek był wniebowzięty. Przyłożył ręce do piersi. „Co to, to nie. Radbym przedłużyć naszą znajomość, ale na innych warunkach" — odparł. „Właśnie — podchwycił Kazek — sądzę, że nie skończymy na dzisiejszym wieczorze". „Proponuję nowe spotkanie. Może jednak u mnie? Mam nowe płyty. I tym razem Irena przyjdzie." — rzekł Tosiek. „Urządzimy sobie prawdziwy wieczór poezji" — namawiał nas Kazek.

D. c. n.

# TELE wizja

# Łączymy się z ŁODZIĄ

Przyznaję się, że bardzo nie lubię oglądać łódzkich programów lokalnych. Moja niechęć posiada prozaiczną przyczynę — program lokalny na ogół bywał zły. Byłbym niezwykle szczęśliwy, gdybym mógł już sądzić, że łódzki program lokalny jest właśnie dobry, ambitny, z twórczą inwencją, zakomponowany w jednolitą całość programową o określonej koncepcji i polityce. Tymczasem nie zawsze mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że publicystyczny magazyn „Aktualności łódzkie" relacjonuje rzeczywiście najciekawsze wydarzenia tygodnia, w dodatku starannie poselekcjonowane z doborem tematów ważnych, problemowych, urozmaicone dobrymi dokrętkami filmowymi i ciekawie zredagowanym komentarzem. Trudno mi też przyznać, że „Rozmowy o programie" emitowane są w godzinach, w których można jeszcze oglądać i słuchać, a więc przed dwudziestą drugą. Na całym świecie przyjęty został zwyczaj, że tzw. programy „trudne" — czyli wszelkie publicystyczne nadaje się w godzinach wcześniejszych, a nie na zakończenie programu. Cieszę się, że „Poradnik turystyczny" nużył łódzkich telewidzów tylko jeden jedyny raz, gdyż go nie wznowiono.

Cieszę się przede wszystkim, a ze mną wszyscy Kowalscy, że niektóre audycje publicystyczne mogą się podobać. Ale nie audycja „Filharmonia przyjechała". Tak tajemniczo, intrygująco zapowiadana przez naszą spikerkę w programie tygodnia audycja lokalna okazała się bardzo nudna, chociaż poruszała ważne zagadnienie. Za temat posłużyła pożyteczna i chyba ogromnie potrzebna akcja łódzkiej Filharmonii — wyjazdy specjalnego zespołu w teren, do szkół Łodzi i województwa, z „koncerto-lekcjami", które mają na celu „zwalczanie analfabetyzmu muzycznego" wśród młodzieży. Kwestia na pewno nadawała się do zrelacjonowania w audycji telewizyjnej, ale mój sąsiad, też Kowalski (właśnie popsuł mu się telewizor, od dwóch tygodni szuka potrzebnej lampy) po jej obejrzeniu, ziewnął. Nie dziwiłem mu się, chociaż jako gospodarzowi nie wypadało uczynić tego samego.

Z kolei, publicystyczny program z cyklu „Spojrzenia i opinie" — „Ludzie z bocznego toru", był już naprawdę dobry. Jednak zasługa tu nie tylko realizatorów, ile również ilustrujących audycję fragmentów filmowych ze znakomitego dokumentu J. Łomnickiego „Dom starych kobiet". Poruszono w niej problem starości — ludzi wyrzuconych poza nawias społecznego życia, skazanych na bezużyteczność, zepchniętych na boczny tor urzędowym pisemkiem: w dniu takim to a takim rozwiązujemy z obywatelem umowę o pracy.

O uśmiech, życzliwość i więcej serca — taka była teza i taka pointa audycji „Ludzie z bocznego toru". Z pewnością humanitarna i szlachetna w intencjach, lecz problem starości jest zbyt trudny, skomplikowany, wielowarstwowy, aby móc go rozwiązać (jeżeli w ogóle można założyć jakieś rozwiązanie?) powyższym apelem, którego praktyczny wniosek zawierał się w propozycji uzupełnienia takich urzędowych pisemek adnotacją — dziękujemy serdecznie obywatelowi za jego wieloletni trud. Taki „postulat" publicystyczny wydaje się nieco naiwny, z gatunku pozytywistyczno-filantropijnych hasełek.

A już zupełnie dobry wydaje mi się cykl „W środku Polski". Proszę pomyśleć — bez wozu transmisyjnego, bez możliwości przytoczenia dosłownego ludzkich opinii i pokazania żywej reakcji — a jednak widzimy co dzieje się w miasteczkach i wsiach naszego województwa. Są to często materiały godne ogólnokrajowego dziennika.

Poprawia się więc nam powoli humor, o czym zawiadamiam.

**KOWALSKI**

## TV — a Twoje dziecko

# ZORRO kontra WINNETOU

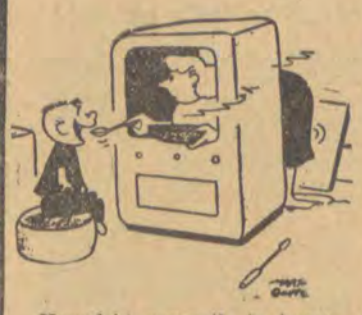

Kowalski zaprosił, ja korzystam. Być może — prawem kaduka, gdyż poniższe miejsce zostało zarezerwowane dla poważnych i kompetentnych autorytetów. Ale publicyści nie ryby i też głos mają, proszę więc nie poczytywać mi za złe przyłączenia się do dyskusji.

Ingerencja telewizji w nasze prywatne życie — to temat na satyryczno-obyczajową powieść, i każdy szczęśliwy posiadacz „Rubensa" czy „Belwedera" z powodzeniem mógłby zostać jej autorem. Cały czas wolny — jak powiadają socjologowie — zachłannie zagarnia mały ekran, nasze sprawy uzależniły się od programu telewizyjnego, układamy swój czas według niego. Temu wszystkiemu dzielnie sekundują nasze dzieci. Oglądają program swój oglądają też bądźmy szczerzy — i program dla dorosłych. Telewizyjny Wicherek jest zbyt sympatyczny, aby brać na serio jego upomnienia: „a teraz, dzieci, pora spać, dobranoc".

Wśród wielu setek publikowanych w prasie różnorodnych wypowiedzi o telewizji, nietknięty i dziewiczy został właśnie ten — wpływ telewizji na młodzież i dzieci. Praw dziwa tabula rasa. A szkoda.

Wszędzie, jak Polska długa i szeroka, panoszy się Zorro. Nawet już na pniach drzew, zamiast serc i imion — Zorro. Teraz jednak Zorro zaczyna przeżywać kryzys popularności. Na podwórzach dzieci układają nowe zabawy, w „Niewidzialnego". Niewidzialny człowiek, bohater supernowoczesny, walczy tak samo, jak jego szlachetny poprzednik, przeciwko złu i niesprawiedliwości, lecz korzystając ze środków godnych epoki na uki — niewidzialny, może wszędzie dotrzeć, i przeciwdziałać złu. Takie są założenia sensacyjno-kryminalnego filmu telewizyjnego — Niewidzialny Człowiek. Odcinkami jego pasjonują się w równej mierze, tak ludzie dorośli, jak dzieci i młodzież. Ludzie dorośli traktują film ten jako dobrą rozrywkę, zaś młodzież kształtuje według niego pewien typ bohatera. Dobrze to, czy źle?

Mój dwunastoletni brat powiada o Zorro — „jest klawy, ale dlaczego nie zabija komendanta? — Ja bym tam zabił, gdybym był na jego miejscu. „Niewidzialny" — ten przynajmniej wie, czego chce".

I więc pod wpływem filmu w pojęciach dziecka dokonała się pewna apoteoza bezwzględności. Oczywiście, trudno zakładać, że będzie ona trwałą, jednakże z pewnością nie stanowi oznaki pozytywnej. Generalizowanie powyższego przykładu reakcji jednostkowej byłoby niebezpieczne gdyby nie fakty powszechnie znane: Zorro na murach, i podwórkowe zabawy w „niewidzialnych". Dzieciom podobają się telewizyjni bohaterowie. Naśladują ich. Starają się do nich upodobnić. „Zorro jest silny i mądry, ale „niewidzialny" jest jeszcze silniejszy" — powiedział mój brat — „chciałbym być „niewidzialnym", wtedy mógłbym wiele rzeczy zrobić". — Jakich rzeczy? — to już tajemnica, która łatwo pozwala się odszyfrować — bo i któż z nas, dorosłych, nie marzył w dzieciństwie o czynach wielkich i bohaterskich? Kto nie pragnął posiadać zręczności Old Shatterhanda, czy szlachetności Winnetou? Ale wyobraźnia dziecka, pobudzona obrazem filmowym, pracuje znacznie intensywniej niż pod wpływem lektury książkowej. Dlatego Old Shatterhand musi ustąpić miejsca rywalom z małego ekranu. Mój brat przytaszczył do domu trzy tomiska „Winnetou", pierwszy przeczytał w ciągu kilku dni, nad drugim ślęczał tydzień, trzeci rzucił w połowie. — „Wolę Zorro" — powiedział, chociaż i pod adresem Zorro postawił szereg zarzutów, przede wszystkim — „Zakończenie głupie. Dlaczego on nie powiedział, kim jest? Dlaczego nie zdjął maski? Zrobił tyle dobrego, uwalniał ludzi, i tak, jakby bał się przyznać do swoich czynów. I ojciec jego byłby szczęśliwy, gdyby dowiedział się, że jego syn nie jest tchórzem, ale jest dzielny i odważny".

Dzieci nie lubią anonimów. Dlatego też „niewidzialny" zyskuje przewagę nad „Zorrem". Ma nazwisko, wiedzą kim jest, martwią się tylko, żeby go na końcu nie zabili". — Takie są opinie dwunastoletniego chłopca. Czy świadczą za, czy też przeciw telewizyjnym filmom przygodowym? Myślę, że stanowczo to drugie. Przede wszystkim, obrzydzają lekturę kryminałów i kowbojsko-awanturniczą w rodzaju Karola Reeda, czy nawet Maya. Bohaterowie telewizyjni nie są tępymi zabijakami, walczą w imię jakiejś idei (często naiwnej, ale przecież nie o to chodzi), sprawy lub zasady. A to już dużo.

**E.O.**

## ZE ŚWIATA

Jedną z najbardziej popularnych gwiazd telewizji zachodnioniemieckiej jest Helga Sommerfeld. Ta dwudziestojednoletnia aktorka debiutowała w epizodycznej roli filmowej jeszcze w trakcie uczęszczania do monachijskiej szkoły dramatycznej. Od tej chwili grała już w kilkunastu filmach m.in. „Peter Voss" z O. W. Fischerem, którego ostatnio widzieliśmy w filmie „Żołnierz i bohater". Jednakże filmy komercyjne nie dały jej możliwości wykazania większego talentu aktorskiego. W pomoc przyszła jej telewizja. Obecnie występuje najczęściej w filmach telewizyjnych oraz w sztukach dramatycznych wystawianych przez telewizję NRF. Na zdjęciach: 2 × Helga Sommerfeld.

*

Angielski producent filmów telewizyjnych Charles Schneer zrealizował cykl takich filmów, których bohaterem jest Sindbad-Żeglarz. Przed przystąpieniem do produkcji tego cyklu Schneer zaprezentował film telewizyjny „Siódma podróż Sindbada", który obfitował w wiele ciekawych tricków i bardzo podobał się widzom. To zachęciło go do wyprodukowania cyklu filmów opartych na przygodach Sindbada. Realizacji dokonał w wytwórni „Screen Gems", gdzie powstał m.in. film telewizyjny „Ivanhoe", który przed kilku laty gościł na naszych małych ekranach.

# Polecamy audycje

Czwartek (21. VI.) obfituje w szereg ciekawych audycji. O godzinie 13.40 ujrzymy przedwojenną polską komedię filmową „Jaśnie pan szofer" w reżyserii M. Waszyńskiego z Eugeniuszem Bodo, Antonim Fertnerem i Ludwikiem Sempolińskim. O 15.20 koncert rozrywkowy z udziałem Bożeny Grabowskiej i Marka Tarnowskiego. Ostatni odcinek „Jeszcze pożyjesz" Bułata Okudżawy w wykonaniu Wojciecha Siemiona zobaczymy o 16.40 (gorąco polecam). Na zakończenie programu film prod. włoskiej „Rabunek na stadionie". Reżyserował znany neorealista Pietro Germi, twórca „Czerwonego sygnału" i nagrodzonej w tym roku w Cannes komedii „Rozwód po włosku". W „Rabunku" ujrzymy słynną Ginę Lollobrigidę oraz mniej znanego aktora Renato Baldini.

Na czoło pozycji piątkowych (22. VI.) wysuwa się sztuka Jana Pawła Gawlika „Portret". Gawlik należy do najzdolniejszych pisarzy współczesnych w Polsce. „Portret" ujrzymy w wykonaniu Teatru Śląskiego w Katowicach. Radzę zobaczyć.

W sobotę (23. VI.) o godzinie 18.00 Grzegorz Lasota zaprezentuje kolejnego „Pegaza", tym razem z Krakowa. O 20.20 zobaczymy film prod. angielskiej „Spokojny weekend" w reżyserii H. Frencha. Jest to zabawna komedia o specyficznym angielskim humorze. Tego rodzaju filmów oglądaliśmy już bardzo dużo w naszych telewizorach.

W niedzielę (24. VI.) o 17.05 ujrzymy widowisko wg powieści Igora Neverlego „Archipelag ludzi odzyskanych" pt. „Kuba" w reżyserii Andrzeja Konica. O godz. 18.30 program estradowy „Spotkanie nad Dunajem" nada Bratysława. Międzynarodowy Turniej Tańca Towarzyskiego obejrzymy o godz. 20.30. Program ten nadawany z Krakowa zawierać będzie obok tańców standardowych, również tańce Ameryki Łacińskiej.

**„Teleman"**

# AUDYCJE TYGODNIA

Młodzieżowy program publicystyczny wg scenariusza St. Manturzewskiego „Mitologia buntu" (13 czerwca) zawiódł oczekiwania telewidzów. Interesująco zapowiadały się pierwsze sekwencje audycji: fragment z filmu „Nóż w wodzie" (podstawa dyskusji) i lapidarnie ripostujące go dokrętki filmowe z udziałem dyskutantów audycji. Jednak ciąg dalszy „Mitologii buntu" przyniósł rozczarowanie. Dyskusja wyreżyserowana tak dokładnie, że... dyskutanci mylili się w swoich rolach i kwestiach, podpowiadano im zza kadru, zaś, teza audycji: czy „filozofia" (?!) szczeniaka z filmu Polańskiego jest postawą typową dla współczesnej młodzieży? — zagubiła się w toku sztucznych opinii i płytkich sądów młodych dyskutantów, którzy, zdaje się, że bardzo niewiele mieli do powiedzenia, natomiast brak elokwencji uzupełniali żywą gestykulacją. Cała audycja robiła wrażenie jakby urwanej w połowie. Jeżeli teraz zestawi się ją z pamiętnym programem młodzieżowym traktującym o analogicznej problematyce, a mianowicie publicystyczną audycją Zbigniewa Chylińskiego „O stylu życia", to warszawska „Mitologia buntu" okazała się całkowitym niewypałem.

Teatr TV przedstawił „Wywiad z Ballmayerem" wg opowiadania Kazimierza Brandysa. Adaptacji dokonał sam autor, spektakl reżyserował Andrzej Wajda. Amerykański dziennikarz Daves, odwiedza zbrodniarza wojennego, niemieckiego generała SS, Ballmayera. Daves, znający wojnę jedynie z relacji dokumentów, wytworzył przekonanie, które usiłuje udowodnić w przeprowadzonym wywiadzie z Ballmayerem, że obok odpowiedzialności wobec prawa oraz odpowiedzialności historycznej, istnieje jeszcze inna, najważniejsza — odpowiedzialność wobec własnego sumienia. W roli Davesa wystąpił jak zawsze znakomity Gustaw Holoubek, generała SS grał W. Krasnowiecki. Jednak na tym ogromnie pasjonującym przedstawieniu wyraźnie zaciążyła filmowa inwencja Andrzeja Wajdy, co szczególnie zaznaczyło się w scenach niedzy Inga (Beata Tyszkiewicz) a Davesem, stąd może odrobina nudy.

# NASZ WYWIAD Z LECHEM BUDRECKIM

Lech Budrecki — krytyk literacki, konsultant do spraw teatru telewizyjnego.

— Jakie jest podstawowe założenie Teatru Popularnego, który niedawno powstał przy Łódzkim Ośrodku Telewizyjnym?

**— Nie rezygnując z dzieł o pewnych wartościach literackich, staramy się wybierać sztuki kompromisowe tzn. ani nie powyżej możliwości percepcyjnych masowego telewidza, ale także i nie poniżej.**

— A więc słowem takie, w których wyobraźnia twórcy trafia akurat do wyobraźni telewidza. Wobec tego skąd wiadomo, że sztuka jest powyżej lub poniżej możliwości widza telewizyjnego? Na jakiej podstawie ocenia się te możliwości? Sztukę teatralną lub film ocenia się na przykład stopniem frekwencji, a jak to jest w telewizji?

**— Niestety, ale pewnej wiedzy w tej dziedzinie nikt nie posiada. Nikt dokładnie nie określi w jakim stopniu na przykład „Nosorożec" Ionesco jest powyżej, a „Ciotunia" Fredry poniżej możliwości percepcyjnych. Nasze wyobrażenia o telewidzach kształtujemy na podstawie opinii i listów jakie do studia napływają. Pewności jednak tutaj żadnej nie ma. Istnieje natomiast większe lub mniejsze prawdopodobieństwo. I dobrze by było gdyby także i w tym kierunku poszły badania socjologiczne. Pozwoliłoby to na dokładniejsze rozeznanie sytuacji i dostosowanie do tego repertuaru.**

— Jakie sugestie wysuwają w swych listach telewidzowie?

**— Mamy dwie kategorie korespondentów. Jedni domagają się rozrywki i na tym kończą się ich wymagania, drudzy natomiast przysyłają oceny całych audycji i właśnie na podstawie tej grupy można sobie wyrobić zdanie o gustach i upodobaniach telewidzów.**

— Na czym polega odrębność teatru telewizyjnego?

**— Wydaje mi się, że właśnie telewizja jest najbardziej żywym dowodem tego jak technika wpływa na środki artystyczne, jak technika wpływa na rozwój sztuki. Ale to już jest problem, któremu należałoby esej poświęcić.**

— Co sądzisz o krytyce telewizyjnej?

**— W moim przekonaniu czegoś co można by nazwać krytyką telewizyjną w Polsce w ogóle nie ma, jeszcze nie ma. Istnieją tylko notki i bardzo enigmatyczne recenzje, które są wszystkim: sprawozdaniami, luźnymi impresjami, anonsami tylko nie recenzjami. Recenzenci nasi nie znają przede wszystkim przedmiotu, nie prawie nie widzieli i mało czytali. Obecne recenzje przypominają swym poziomem okres kina niemego w Polsce.**

— Jakie sztuki w najbliższym czasie wystawi Teatr Popularny?

**— W planie jest „List" Fredry w reżyserii Maryny Broniewskiej, „Oberżystka" Goldoniego w reżyserii Ireneusza Kanickiego i na dalszym miejscu prawdopodobnie „Mąż przeznaczenia" Shawa, w reżyserii Jerzego Antczaka.**

Rozmawiał:
**KAROL BADZIAK**

# KŁOPOTY GAMOLOGII

Na razie są to kłopoty zupełnie jednostkowe, ponieważ dotyczą dziedziny, która dopiero ma zamiar się rozwinąć — poradnictwa gamologicznego tzn. małżeńskiego. Jedynym bodajże ośrodkiem w Polsce zajmującym się tymi zagadnieniami jest Dział Seksuologii Kliniki Chorób Psychicznych i Poradnia Nerwic Akademii Medycznej w Gdańsku. Dr K. Imieliński, który pracował w tejże Klinice (obecnie przeniósł się do Warszawy, gdzie organizuje się ośrodek gamologiczny, nastawiony głównie na badania naukowe), stwierdził na jednej z konferencji, że poradnictwo gamologiczne jest niezwykle trudne i skomplikowane. Trudności polegają przede wszystkim na tym, że poradnictwo dotyczy nie jednej osoby, lecz dwojga małżonków. Znalezienie odpowiedniego wyjścia z zawikłanych sytuacji konfliktowych w małżeństwie, wyjścia korzystnego dla obojga partnerów, jest niezwykle odpowiedzialne. Ze względu na wielką różnorodność komplikacji życia małżeńskiego trudno ustalić jakieś bezwzględne prawa i normy, które ułatwiłyby udzielanie porad. Trudności tych nie ma w żadnych innych poradniach, gdzie zgłasza się jeden chory człowiek i można realizować maksymę, że interes pacjenta jest najwyższym prawem dla lekarza. W poradnictwie gamologicznym także stosuje się tę zasadę, ale pamiętając jednocześnie, by interes pacjenta nie stał się przyczyną nieszczęścia lub utraty zdrowia innej osoby, przyczyną rozkładu rodziny.

Dr Imieliński podawał przykład z dziedziny zaburzeń seksualnych: jak powinien postąpić lekarz w razie zgłoszenia się mężczyzny cierpiącego na nerwicę płciową, jeśli mężczyzna ten jest żonaty, lecz jako partnerkę — która jest niezbędna do leczenia, przyprowadzi inną kobietę, nie żonę. Perswazje lekarza, że lepiej współżyć z żoną nie odnoszą skutku. Czy więc lekarz ma traktować tę kobietę jak żonę i pouczać ją o sposobie zachowania się przy współżyciu seksualnym — co pomoże w usunięciu nerwicy u pacjenta, czy też ma się nie zgodzić na współżycie pacjenta żonatego z obcą kobietą, nawet za cenę nieleczenia go? Czy wolno lekarzowi zrezygnować z leczenia? A jeśli nie zrezygnuje, jeśli zgodzi się na współudział innej kobiety w leczeniu — zalegalizuje tym niejako stosunki pozamałżeńskie. W wypadku, gdy dowie się o tym „legalna" żona może mieć nie tylko pretensje do lekarza, ale może nawet wystawić go pod pręgierz nieprzychylnej opinii publicznej.

Inny przykład — jeśli chory, który ma narzeczoną, przyprowadza jako partnerkę inną kobietę i wyraźnie lekarzowi mówi, iż traktuje ją wyłącznie jako pomoc w wyleczeniu, to: czy lekarz ma powiadomić tę kobietę o takim nastawieniu pacjenta, czy też udać, że nic nie wie przyczyniając się tym być może do nieszczęścia tej osoby?

Jeszcze inny przykład — wyleczony lub zaleczony homoseksualista ma się żenić. Czy lekarz ma obowiązek „napomknąć" przynajmniej jego przyszłej żonie o poprzednim stanie chorego — bo może stan ten się powtórzy, czy też ma milczeć?

Jakie jest wyjście z tak konfliktowych sytuacji — musi rozstrzygnąć w każdym konkretnym przypadku i we własnym sumieniu — lekarz. Lekarz winien także dążyć do ustawicznego konsultowania swej działalności ze specjalistami z innych dziedzin i to nie tylko podobnymi z profesji, ale również etykami, psychologami, prawnikami itp. OSTROŻNOŚĆ I TAKT — muszą być w poradnictwie gamologicznym cechą zawodową, parających się tą trudną dziedziną, osób. Kiedy poradnictwo gamologiczne stanie się bardziej powszechne, podobne do zacytowanych przypadki będą najprawdopodobniej przedmiotem naukowej dyskusji.

## Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów"

Foto: A. Kobyliński

# SOCJOLOGIA PRZEMYSŁU [NIE U NAS]

Na upartego można powiedzieć, że początek amerykańskiej socjologii przemysłu łączy się z Polską, a właściwie z Polkami. Przeszło 30 lat temu w pewnej chicagowskiej fabryce rozpoczęto badania dotyczące wpływu warunków pracy na wydajność. Eksperyment przeprowadzano na kilkuosobowym zespole roboczym — w części polskiego pochodzenia, montującym urządzenia telefoniczne. Ku zdziwieniu eksperymentatorów okazało się, że najistotniejszym bodźcem był... eksperyment i osoby go przeprowadzające. Wydajność zespołu rosła nieustannie, bez względu na zmiany warunków pracy, na skutek „przejęcia się" samym eksperymentem, zadowolenia zeń, tudzież ze względu na osobistą więź, jaka powstała w trakcie jego trwania, między samymi robotnicami, a przeprowadzającymi badania. Taki był początek.

Obecnie spośród kilku tysięcy amerykańskich socjologów poważna część blisko współpracuje z przemysłem. Tak przynajmniej twierdzi dr A. Matejko, który jako stypendysta fundacji nowojorskiej Population Council przebywał w Ameryce i swoje obserwacje zawarł w bardzo ciekawej książce „Socjologia przemysłu w Stanach Zjednoczonych Ameryki".

Ponieważ Łódzki Ośrodek Socjologiczny, także zajmuje się zagadnieniami socjologii pracy, ponieważ Łodzi ta część socjologicznej nauki jest szczególnie potrzebna i ponieważ „socjologia, jako taka" budzi w naszym mieście duże zainteresowanie — o czym świadczy chociażby liczba 100 tegorocznych kandydatów na studia socjologiczne (miejsc — 30) ośmielamy się zaanonsować ukazanie się tej publikacji.

Autor stwierdza m. in., że amerykańska socjologia przemysłu ma bogaty zasób doświadczenia w zakresie metod i technik badawczych, a rozliczne sposoby wdrażania wyników badań do praktyki gospodarczej są godne rozważenia właśnie w Polsce. Dlaczego?

Polska socjologia przemysłu ciągle jeszcze znajduje się we wstępnej fazie rozwoju, a zapotrzebowanie przemysłu na usługi socjologów rośnie niemal z dnia na dzień.

* * *

Wśród socjologów i psychologów amerykańskich panuje powszechna opinia, że ich dyscypliny są pokrzywdzone przy ogólnym podziale subwencji. Mimo że roczny budżet na prace związane z socjologią przemysłu wynosi astronomiczną w naszym pojęciu sumę 30—55 mln. dolarów, 67 proc. tych kwot pochodzi od rządu federalnego, 16 proc. od fundacji, 13 proc. od prywatnego przemysłu i handlu, 4 proc. od administracji stanowej i terytorialnej.

Ośrodki socjologiczno-przemysłowe można podzielić na naukowe organizacje pracujące bez zysku, organizacje przedsiębiorstwa sprzedające swe usługi badawcze i zarabiające na tym, organizacje zajmujące się doradztwem w zakresie szerszej polityki ekonomicznej i społecznej. Aż 39 proc. spośród nich stanowią prywatne organizacje naukowo-badawcze.

I jeszcze jedna ciekawostka — naukowcy zajmujący się problematyką pracy i pracujących, to w około 60 proc. psycholodzy, w 11 proc. socjolodzy, reszta: ekonomiści, matematycy, antropologowie społeczni, pedagodzy, specjaliści od administracji i inżynierowie.

Warto przeczytać — nakład tylko 5 tysięcy, cena 40 zł, ale trudno dostać...

# RZECZYWISTOŚĆ PRZERASTA ZMYŚLENIE

Pewien klient ORS po nabyciu „Syreny" nie kwapił się z zapłaceniem rat. Przedstawiciele ORS nie mogli znaleźć ani jego, ani też auta, ponieważ wyprowadził się z domu, mieszkał i parkował w coraz to innym miejscu.

W związku z tym, obciążono długiem żyrantów. Ci poprosili w ORS o prolongatę i obiecali odnaleźć nabywcę. Dyrektor ORS załatwił im specjalne dokumenty, uprawniające do zatrzymania auta. W trosce o własną kieszeń, żyranci tak długo wydeptywali skrzyżowania ulic, aż wreszcie „nakryli" amatora bezpłatnej motoryzacji.

„Syrena" powędrowała z powrotem do ORS. Jednakże nabywca nie stracił głowy. Za obietnicę małżeństwa otrzymał od pewnej pani nieco gotówki, by pokryć zaległe raty i na pewien czas odzyskał samochód.

Gdy ponownie zaczął zalegać, historia powtórzyła się w sposób identyczny: monity, żyranci, zatrzymanie, ponowne wykupienie zatrzymanego auta. Tyle, że pani była tym razem już inna.

Wreszcie „kolektywnym wysiłkiem" samochód został spłacony. Ale właściciel nie cieszył się nim długo — komornik tylko czekał na zakończenie spłat, żeby zabrać „Syrenkę" naszemu delikwentowi za zaległe alimenty.

Historia, acz ze zrozumiałych względów nie podajemy tu żadnych nazwisk, jest stuprocentowo prawdziwa. Powtarza się stara prawda: rzeczywistość przerasta zmyślenie

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17 * Zam. 1798 VI A 6

ODGŁOSY tygodnia

# MHL

Miejski Handel Lustrami — tak by można nazwać nowy proceder wymyślony w Łodzi. Towar jest poniekąd i chodliwy i uliczny. Swego czasu sprowadzono do nas z Poznania sporą partię luster ulicznych, wychodząc ze słusznego założenia, że jest to niezły półśrodek na zmniejszenie niebezpieczeństwa na „skrzyżowaniach śmierci". Obfituje w nie nasze miasto, poszatkowane jak rzadko które wąskimi i prostopadłymi uliczkami. Znane z patriotyzmu Zakłady im. Strzelczyka wyprodukowały nawet specjalne ramy. Oprawione w nie lustra dobrze zdawały egzamin na skrzyżowaniu ulic Sienkiewicza i Narutowicza. Oczywiście, z chwilą uporządkowania terenu pod wieżowcem lustra stały się tu zbędne. Zapatrzeni w zmodernizowane skrzyżowanie importerzy luster stracili do nich entuzjazm w ogóle i postanowili wyzbyć się lustrzanego remanentu. Zrobiono handel z Krakowem. Komu lustra, komu? Mamy ich jeszcze na składzie 16. Że są niezbędne w Łodzi, że ludzie zabijają się jak zabijali na takich skrzyżowaniach jak np. Piotrkowska i Rewolucji 1905 roku? Grunt, żeby był ruch w interesie.

# ŚWIĘTE DRZEWA

Do tej pory zdawało nam się, że prócz ludzi atrybut świętości dawany jest tylko krowom. Obyczaj łódzki uczy, iż święte mogą być również drzewa. Tylko bowiem takimi kultowo-mistycznymi względami daje się wytłumaczyć fakt, iż będącej w kapitalnym remoncie ulicy Świerczewskiego nie można poszerzyć na znacznym odcinku od Wólczańskiej do Gdańskiej przez... jedno drzewo, stojące w pobliżu szpitala im. Pirogowa. Podobno jakiś nadzmysłowy immunitet chroni drzewa przy Strykowskiej, licząc od mostu, gdzie jezdnia rzuca w poślizg — zdarzało się — prosto na łono Abrahama, mimo iż dawno już zdecydowano je pościnać. Świętości nie szargać, ale mimo wszystko wolimy gdzieniegdzie nie święte, lecz ścięte drzewa.

# ZACZAROWANA LATARNIA

Leży sobie u zbiegu ulic Pabianickiej i Gagarina. Leży miast stać i rdzewieje. Odnotowujemy ten fakt nie ze względu na sprzeczność z hasłem „nie rdzewieć", lecz z uznaniem. Jak wiadomo, ulica Pabianicka jest arterią wybitnie przeciążoną. Równie przeciążona w Polsce jest jedynie droga — Katowice — Kraków. Poza tym ulica Pabianicka przoduje w ilości wypadków i to śmiertelnych. We wspomnianym miejscu, gdzie leży zaczarowana latarnia, miało być rondo i ruch jednokierunkowy, który by zwiększył bezpieczeństwo pieszych i zmotoryzowanych. Ronda się nie wykańcza, ruchu jednokierunkowego nie otwiera, bo tak chcą czarnoksiężnicy, co zaklęli leżącą latarnię. Słusznie. A nuż z chwilą uporządkowania tego miejsca ulica Pabianicka straciłaby swoją palmę pierwszeństwa i sławę?

# GŁUPI LEOŚ

**Idąc ulicą usłyszeliśmy krzyk dziecka. W samym centrum miasta, w bramie jednego z domów przy Piotrkowskiej mężczyzna w łachmanach usiłował wciągnąć w głąb podwórka dziesięcioletniego może chłopca.**

**To głupi Leoś — wyjaśnili przypadkowi widzowie. — On zawsze tak na wiosnę... Wtedy i my przypomnieliśmy sobie Leosia. Dwa lata temu w kinie „Wisła", na jednym z wcześniejszych seansów, trzeba było wzywać telefonicznie dyżurnego milicjanta, aby uwolnił obecnych w kinie chłopców od natarczywości zwyrodnialca. Widać nie na wiele przydała się ta interwencja, skoro głupi Leoś nadal włóczy się po ulicach Łodzi, odrażający, z tępym uśmieszkiem na zarośniętej twarzy troglodyty. Żebrze po lokalach wyciągając czarną od brudu rękę, napastuje dzieci, wabiąc je umamlanym cukierkiem, wdzięczy się coś bełkocąc do oglądających się za nim przechodniów.**

**— To nie nasza sprawa, to Milicji — odpowiedziano mi w Wydziale Opieki Społecznej i Spraw Socjalnych Prez. Rady Narodowej m. Łodzi, przyznając rację, iż „głupi Leoś" jest zjawiskiem kompromitującym na ulicach dużego miasta, a do tego i niebezpiecznym ze względu na wyraźne skłonności homoseksualne włóczęgi.**

**Wydaje się, że najwyższy już czas, aby zająć się tą sprawą. Nie czekając, aż z powodu wałęsającego się bez nadzoru umysłowo chorego człowieka wydarzy się jakaś tragedia...**

# AWANS CZERWCA

W tym roku miesiąc czerwiec doszlusował do lipca i sierpnia, jako czasokres urlopowo-wakacyjny. Jak nas informuje Łódzkie Biuro Skierowań FWP, wykorzystanie miejsc na wczasach, oddanych do dyspozycji łodzian na czerwiec jest 100-procentowe. Karierę robią wczasy rodzinne, wykorzystywane również w 100 proc. Ich znaczny ilościowy wzrost w porównaniu z latami ubiegłymi jest nieproporcjonalny do potrzeb. Jak tak dalej pójdzie, rozważany przez nas swojego czasu problem: „Jechać na wczasy razem z żoną, czy oddzielnie?", stanie się czystą reminiscencją.